

25135

Sebastyan Klomowicz.

— ✕ —
• • • • •
O b r a z

z ciernistego żywota wieszczą

przez

Dana Zacharyasiewiczą.

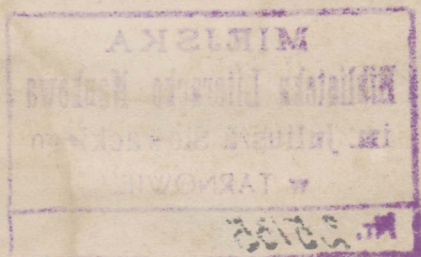
Wydanie ku uświetnieniu uroczystości odsłonięcia pomnika Sulmierzycznego na
d. 10. czerwca 1862 r. i uwiekopomnieniu wśród ludu pamięci poety.



CHEŁMNO.

NAKŁADEM I DUKIEM JOZEFĄ GÓLKOWSKIEGO.

—
1862.

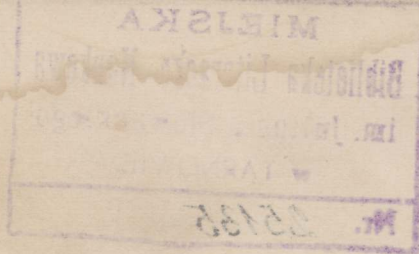


Miejska Biblioteka Publiczna
Im. Juliusza Słowackiego
ul. Staszica 6 - tel. 491
C-31106



Krótką wiadomość o życiu i pismach Klonowicza.

Sebastyan Fabian Klonowicz urodził się w Sulmierzycach, w miasteczku dawniej województwa Kaliskiego, w roku 1551 z ojca mieszczanina. Gdzie początkowo nauki pobierał, nie wiadomo. Mając lat 21 udał się do Krakowa na akademię, gdzie został doktorem filozofii. Później udał się do Lwowa, a ztamtąd do Lublina, gdzie dwa razy był obrany burmistrzem. Pozyskawszy względy zakonników Sieciechowskich, został w ich dobrach wójtem i trzymał, zapewne w dzierżawie, Wólkę Józefowską. Podróżował za młodu po Węgrzech i Czechach, później odbył podróż do Gdańska, w której napisał Flisa. Nieszczęśliwy w pożyciu domowem umarł w nędzy na rękę OO. Jezuitów w szpitalu w roku 1608. Najznacześniejsze dzieła jego są, łacińskie: 1) Roxolania, w którym opisuje piękności ziemi ruskiej, 2) Victoria Deorum, poemat wytykający wady i występki ludzkie; — polskie zaś dzieła jego są: 1) Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego, 2) Flis, świeżo przez p. Stanisława Węclewskiego w Chełmnie z objaśnieniami wydany, opisujący podróż szypków polskich, ze zbożem do Gdańska po Wiśle pływających, 3) Worek Judaszów, który jest ogromną, ostrą satyrą czyli prześmianiem wszystkich wad ludzkich, a mianowicie tych, które z chciwości pochodzą. Staraniem ks. Siwickiego z Brzezia i p. Mierzyńskiego z Poznania postawili mu rodacy pomnik żelazny w Sulmierzycach.



Dum trepidant stulti, sumit prudentia vires.

ACERNUS.

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Juliusza Słowackiego
ul. Staszica 6; - tel. 491

L

I.

Czas jest-to księga rzeczy, volumen ciekawy,
Gdzie wpiszą życie człowieka i wszelakie sprawy,
To świadek uczuć serca i pomysłów czoła.
Z tej księgi pan Bóg kiedyś na sąd nas powoła!
S. Klonowicz.

Pochylony wiekiem i ciężarem korony wstąpił Zygmunt August do grobu. Smutno patrzył naród w ciemny dół, który króla pochłonał, i nie wiedział, iżali po świeżej jego mogile nie rozleje się krew bratnia!...

W miasteczku Sulmierzycach panowały od kilku dni bojaźń i trwoga. Mieszczanie wyglądali z okien i pytali jedni drugich. Tu i owdzie pozbierały się kupki, radzono, rozprawiano, wreszcie zgodzono się na ostateczny w takim razie środek — na modlitwę. Bo któż kiedy w życiu nie miał się tego środka, wołając z psalmistą: Bóg nadzieją, Bóg ucieczką moją!...

I cóż tak zatrwożyło biednych mieszczan? Obec im były sprawy kraju, oni nie znali króla, nie liczyli lat jego, nie widzieli grobu, który się zapadł pod jego nogami, a nie mogli przewidzieć nieszczęść, które w takim razie na kraj cały spływały. Ubodzy prostaczkowie nie sięgali wzrokiem po za kopce rodzinnego miasta, nie troszczyli się o zmiany dynastyczne, bo nie im używać przywilejów, ani głosować na króla. A jeżeli przyszła nędza i ucisk, to już się do tego człowiek przyzwyczaił, bo przecież grzechem jest oprzeć się możniejszemu, mniemali, nawet wtedy, gdy niesłuszność wyrządza.

Mieszczanie Sulmierzycey nie myśleli więc ani o królu, ani o sprawach Rzeczypospolitej, a cała ich bojaźń złąd pochodziła, że wójt ich nagle zasłabł. A wójt to przecież najważniejsza w mieście osoba: czem król dla szlachty, tem wójt dla miasta. Od niego zawisł dobry byt, obyczajność i karność w mieście, on czuwa nad osobą najbiedniejszego brata mieszczanina, on opiekunem wdów i sierot, sędzią i prawodawcą. Biada miastu, jeżeli wójt krzywemi pójdzie drogami! Ubóstwo zawita w dom mieszczana, dom jego pochyli się niepobielany, a na dachach porośnie mech i zielsko jakby na mogile! Niezgoda porozrywa okapy dachów, domy i ludzie staną daleko od siebie!

A wójtem po Bożej woli był stary Klonowicz. Od lat piętnastu nieprzerwanie sprawował ten urząd, a choć co kilka lat nowy wybór przypadał, zawsze jednak wybierało go miasteczko. Złąd też i grunta jego nazwano wójtostwem, a prócz tego znany był w całym mieście biały brytan, pies wójta, znane były konie wójtowe, wołki i krówki wójtowe, i wszystko co było jego, było oraz wójtowe, bo Klonowicz nigdy wójtem być nie przestawał.

Owoż szczerze życzyli mieszczanie zdrowia i długich lat staremu Klonowiczowi, i poszli do księdza Plebana, aby na jego intencją odprawił jutro wotywę do cudownego obrazu Przenajświętszej Boga-Rodzicielki. Ksiądz Pleban pochwalił chrześcijańską cnotę mieszczan i przyrzekł, że sam do Boga gorąco o wyzdrowienie wójta modlić się będzie.

Szczere musiały być modlitwy i mieszczan i plebana, bo gdy nazajutrz po skończonem nabożeństwie mieszczanie z kościoła wychodzili, zaszedł im drogę rumianej twarzy młodzieniec i najstarszych z nich zaprosił do starego Klonowicza.

— Jakże się ma twój opiekun, Sierotko? zapytał jeden z mieszczan.

— Dobrze, odpowiedział z radością Sierotka, dziś rano choroba przeminęła, jakby kto ręką odjął.

— Co ty dzisiaj w takiej saicie Marcinku? pytali młodzieńca mieszczanie.

Marcinek Sierotka miał na sobie siwą kapotę, przepasaną pasem z krajki czerwonej. Na zapytanie mieszczan zmieszał się

i poczerwieniał, a ucałowałszy rękę najstarszego brata i cechmistrza cechu swego, odpowiedział, jękając się:

— Ja nie wiem, ale sławetny mój opiekun kazał mnie ubrać się, w co mam najlepszego. A że to sukno nie dawno od Szlązaka kupiłem...

— Dobrze, dobrze, zawołał cechmistrz z należytą powagą, wiem ja już, co się święci. A jak tam z kaletą? rzekł po chwili, uśmiechając się do mieszczan, bo na wotywie było się naczecz, rozumiesz?...

Sierotka poczerwieniał jak pąs i ledwo ze skóry nie wyskoczył, gdyż się domyślał, o co właściwie tu chodzi. Ale mieszczanie, zdawało się, nie podzielali jego radości, bo chociaż nawet który w duszy rad mu był, to przecież nie wypadało okazać tego publicznie, bo Sierotka był ubogim czeladnikiem i nie miał mieszczaństwa. Mieszczanie uszykowali się w długi szereg według godności swoich i zasobów, bo grosz, uczciwą pracę uzbierany, cześci mieszczanin nadewszystko, bo wie sam, jak gorzką jest praca uczciwa.

Była to jesień. Słońce świeciło pogodnie, a żółte liście drzewa mieniły się jak złoto w promieniach słonecznych. W podcieniu starego domku na ławie siedział stary Klonowicz, podpierałszy ręką siwą głowę. Twarz jego była blada i mnogimi zmarszczkami poorana. Widać było, że przeżył chorobę, ale choroba pozostawiła po sobie ślady, które pocziwych jego sąsiadów mocno zatrwożyły.

Stanęli w półkole, zdjęli czapki i pochwalili Chrystusa. Klonowicz kolejną podawał im rękę, dziękując im za chrześcijański uczynek. Po chwili opowiadał im, że w nocy przyśniła się mu Przenajświętsza Panna, opiekunka sierot, i mówiła, aby się spieszył z dobrymi zamysłami swemi, aby schodząc z tego świata nie zostawił sierot bez opieki. Machnąwszy ręką na Marcinka, aby odszedł, ozwał się w te słowa do zgromadzonych mieszczan:

— Otóż roztrząsałem sumienie moje, sławetni bracia, iżali sieroty jakiej bez opieki nie zostawię. Czuję, że koniec życia mego jest bliskim, a Przenajświętsza Panna dozwoliła mi dzisiaj sił, abym wypełnił, co mi jeszcze do wypełnienia pozostaje. Posłuchajcie mnie!

Mieszczanie zasiedli na długiej ławie, a pochyleni naprzód głowami, słuchali mowy swego wójta.

— Przed kilkunastu laty, opowiadał stary Klonowicz, znaleziono młode pacholę pod figurą. Trudno było dopytać się o jego ojca lub matkę, wiedziało tylko, że się nazywa Marcinek. Otóż błakało się to pacholę po mieście, a że nie wiedzano jego nazwiska, nazwano go Sierotką. Byłem wtedy wójtem i pomyślałem sobie: Miasteczko nasze to jak jedna wielka rodzina, a czemuż nie dać pomocy biednej sierocie, która do niej zawita i do drzwi kołace? I wziąłem tę małą dziecinę, a gdy się trochę podchowała, dałem ją uczyć pożytecznego rzemiosła. Sąsiad, Michał Głowa, sławetny cechmistrz tego rzemiosła, najlepiej powie, że Marcinek był wzorowym terminatorem a teraz nienagannym jest czeladnikiem. Pracowity i trzeźwy chłopiec robi po dworach pańskich, umie się dobrze obchodzić z przędziwem. Taśmy jego pokupne są w Kaliszu, i Szlązak lepszych nie wybije. Aż miło patrzeć na jego robotę. Dla czegoż nie ma go miasto przyjąć do swego cechu i raz na zawsze zmazać tę hańbę z niego, że jest zawłoką, że jest sierotą bez imienia? Jabym tak spokojnie umierał, widząc go w gronie waszem mieszczaninem, toby mnie ulżyło zmartwienia mego, że syna Sebastjana już w tem życiu więcej oglądać nie będę!...

Mieszczanie poczęli między sobą rozmawiać. Niektórzy z nich byli tego zdania, żeby to sławetnym mieszczanom miasteczka Sulmierzyc ubliżało, gdyby człowieka bez imienia, zawłokę, do przywilejów miejskich przypuszczono. Ubliżało to dumie mieszczańskiej, wynikającej z karności obyczajów, aby się zbratać z człowiekiem nieznanego pochodzenia, o którym nie wiedzieć, kto go chrzcił, a kto był jego ojcem chrzestnym. Zresztą taki człowiek zawsze upokorzony jest między obcemi, bo któż wie, jak rodzic jego żył na świecie? A dla biednego mieszczanina, który po ojcach nie dziedziczy ani herbów ani klejnotów rodowych, najcenniejszą spuścizną jest dobre i uczciwe imię, które mu ojciec po sobie zostawi, a na to dobre i pocziwe imię trzeba gorzko i po chrześcijańsku pracować. Ta rodowa pycha nie trwa jednak dłużej jak jedno pokolenie, bo syn marnotrawny i nieuczciwy zatracą swój klejnot rodowy, a jego potomek na

nowo musi się pocziwego imienia dorabiać. Więc wielki spór był między mieszczanami, czy Marcinka Sierotkę do współobywatelstwa miasteczka przypuścić, czy nie, ale zważając na to, że tu idzie o zadosyćuczynienie życzeniom ukochanego wójta, który do grobu chce tę wdzięczność miasta wziąć jako wezglowie wiecznego odpoczynku; niemniej też, że to uspokoi go w żalu za jedynakiem, który wyszedłszy gdzieś w świat, już do rodzinnego miasta nie wróci, aby ojcu zamknąć powieki... a w końcu zważywszy i to, że Marcinek Sierotka pilnym i trzeźwym jest rzemieślnikiem, i pocziwem życiem wkrótce zarobi sobie na szacunek i przychyłność całego miasta, zezwolili wreszcie mieszczanie na przyjęcie Sierotki w swoje grono, czyniąc go współobywatelem swoim.

Stary wójt uśmiechnął się zadowolony z takiego wyroku najstarszych braci i cechmistrzów, a sparlszy się na ramieniu Sierotki, który pod koniec rozmowy na posiedzeniu się ukazał, wszedł do wielkiej izby, prosząc za sobą zgromadzonych.

W izbie wójta było jakoś smutno i ponuro. Widać było po wszystkich sprzętach, że gospodarzowi już od dawna brak towarzyszkich życia, że samotny i sierocy dobiega do grobu. Na środku izby stał duży, lipowy stół, koło niego dwie ławy. Na półkach świeciło się kilka misek cynowych, co było oznaką wielkiej niegdyś mieszczanina zamożności. Dzisiaj poszczerbione i szerniałe stały te miski, a z prochu, który na nich osiadł, wnosić można było, że już od dawna stały tam bez użytku. Piec zielony z polewanych, szlążkich kafli był gdzieś niegdzie pobielony, i w ciemnym kącie wyglądał jak jaki pejzaż fantastyczny. Podłoga także już miejscami przegniła, a belki u pułapu wygięły się od starości i groziły upadkiem.

Stary Klonowicz westchnął rozglądając się po izbie i szukając kogoś oczyma. Po chwili ozwał się do mieszczan:

— Smutno schodzić mi z tego świata, nikt z rodziny nie przymknie mi powiek.

A otarłszy łzę mówił dalej:

— Tu na tej ławeczce pod piecem, jakbym go widział, siadywał Sebastyan i w długich zimowych wieczorach słuchał opowiadania starego Bartosza, co przez trzydzieści lat był flisem

i nieraz z skutą płynął aż do Gdańska. Mój Boże, młode chłopię zapaliło się jak hupka. płakało z radości, gdy mu gadał jakie tam cudne są grody w polskiej ziemi, jak piękne lasy rosną na brzegach rzek! Odtąd opanowała go tęsknota, zmierzył sobie grunt ojczysty, powędrował do wielkiego grodu i z tamąd już nigdy nie wrócił. Mówią, że się uczy; moj Boże, na cóż mieszczaninowi tej górnej nauki!

Mieszczanie słuchali z rozrzewnieniem skargi starego Klonowicza. A słuszna była skarga mieszczanina, bo syn jego, jednak, opuścił dom rodzinny, a długo, długo nie było o nim wieści.

Wreszcie opamiętał się w żalu stary wójt, a przypomniawszy sobie, po co właściwie mieszczan do siebie zawołał, prosił ich, aby usiedli i przysięgi Marcina Sierotki wysłuchali.

Widać, że wójt przekonany był o uległości swoich współobywateli, bo do przyjęcia Sierotki na mieszczanina Sulmierzyckiego wszystko było gotowe. Stara gospodyni wyszła z alkierza i przyniosła krucyfiks i dwie świece. Z dużej, misternie ozdobionej skrzyni wyjęto grubą księgę, a pisarz miejski wziął się do pióra, aby Sierotkę w grono braci zapisać. Z pobocznej izdebki wychodził zapach jakiegoś pieczywa, a kilka wielkich dzbanów ustawiono koło pieca. Snać wójt zwykłym obyczajem chciał dla Sierotki wyprawić ucztę, co wielu z ubogich mieszczan w dobry humor wprowadziło.

Na pierwszym miejscu za stołem usiadł Klonowicz, koło niego zajęli miejsce przysiężni. Podług wieku, rangi i dygnitarstwa miejskiego pozasiadali inni na długich ławach, a dwóch najmłodszych z braci pełniło obowiązki służby. Sierotka stał przy progu nie śmiejąc oczu podnieść na tak szanowne grono, a serce jego mało mu z piersi nie wyskoczyło, gdy sobie pomyślał, że po raz pierwszy pozwolono mu być świadkiem tajemnic sesji miejskiej, o których tyle marzył! Dzisiaj miała się zakończyć sieroca dola jego, miał się stać członkiem rodziny i zasiadywać na długich, miejskich ławach! Ileż to rozkoszy dla biednego sieroty!...

Klonowicz zapytał się po trzykroć mieszczan, iżali który nicma co Marcinowi Sierotce, czeladnikowi cechu powroźnickiego

do zarzucenia, czy nie wie czego, coby hańbiło jego imię. A gdy wszyscy uznali go pocziwym i pracowitym człowiekiem, zwrócił się wójt do niego i w krótkich słowach przedstawił mu obowiązki nowego stanu.

Mówił mu, że odtąd dla dobra miasteczka musi się wyrzec woli własnej i to tylko czynić, co zgromadzenie braci zgodnie z urzędem za dobre uzna. Że starszych wiekiem ma słuchać i szanować w każdym razie, czy to w domu, czy na ulicy. Że rzemiosło swoje ma wykonywać sumiennie, nie biorąc za swoją pracę więcej, jak jest we zwyczaju. Że wszelkie ciężary publiczne bez szemrania ma znosić, bo mieszczanin jest to jak słup jeden w wielkim budynku, a gdy się od ciężaru uchylić chce, to cały budynek runąć może. Dalej napominał go, aby biedniejszych od siebie wspierał, a gdy który na starość kaleką się stanie i na chleb nie będzie sobie mógł zarobić, aby nie usuwał od niego ręki dobroczynnej.

Tak i podobnie mówił stary wójt do Marcinka Sierotki, który z rozczeniem, z głową w ziemię spuszczoną, słuchał ojcowskich słów swego opiekuna.

Po chwili zapalono świece, pisarz odczytał słowa przysięgi, a Marcin Sierotka podniósł przed krucyfiksem dwa palce do góry i powtórzył przysięgę. Po czem ukląkł, ucałował krzyż, a wstawszy zbliżył się do starego Kłonowicza. Upadłszy mu do nóg, kolejno wszystkim mieszczanom rękę ucałował. Każdy z nich zaś na znak braterstwa pocałował go w twarz.

Postawiono na stole kilka mis pieczonego mięsa i dzbany z miodem. Pito zdrowie nowego mieszczanina. Sierotka uczuł się po raz pierwszy w życiu tak szczęśliwym, że do swego szczęścia już niczego więcej nie pragnął, jak zdrowia i szczęścia swego opiekuna. Zdawało się mu, że mu sił przybyło, że na Bożym świecie już nie sam jeden żyje!

Ale opiekun jego smutny był dzisiaj i niepokieszony. Patrząc się na rumiane oblicze Sierotki, roztarł łzę w oku i zawołał:

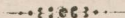
— Ty Marcinie masz już rodzinę, a mój Sebastyan sierotą błąka się po świecie! Tak jak ty między nami byłeś sierotą, tak i on żyje tam gdzieś między obcymi, a któż go przyjmie za swego? Tu było jego gniazdo rodzinne, tu mógłby być

Mieszczanie pocieszali starego wójta, że syn jego zdrów powróci, i przyniesie do domu siła złota, że na starość miodem pokrzepiać będzie kości swoje i błogosławić dobremu synowi. Sierotka zaś ucałował ręce swego opiekuna i poprzysiągł, że sam się do Krakowa wybierze, aby Sebastyana odszukać, i wolę rodzica oznajmić.

Ale za kilka dni już nie żył wójt Sulmierzyc. Dzwony jęczały długo roznośnie, długo płakali mieszczanie, a najdłużej płakał Sierotka i mało mu serce nie pękło, gdy jego opiekuna w trumnice do grobu spuszczano.

Wróciwszy na opuszczone wójtostwo opamiętał się biedny Sierotka, i jak mógł zarządził gospodarstwem. Za kilka miesięcy dotrzymując słowa przysięgi, wdział siwą kapotę, zakasał poły i przeżegnawszy się krzyżem świętym, puścił się w daleką podróż, aby Sebastyana odszukać i do rodzinnej osierociałej powołać zagrody. Mijając kopiec Sulmierzycki, pożegnał jeszcze raz ustronie sierocych dni swoich i ruszył w imię Boga, nuciąc pieśń do Boga-Rodzicy:

Gdy czart mnie kusi, pioruny biją,
Bądź mi ucieczką święta Maryjo,
Czy to na lądzie, czy to wśród wody
Strzeż od przygody!...



im. Juliusza Słowackiego
Biblioteka T. S. L. w Katowicach

II.

Pierwej niż ogień zabuczny na dachu,
Niż się zawęźmie w nieostrożnym gmachu,
Nie zatarliśmy isierki, więc ściany
Bracia sąsiedzkiej brońmy na przemiany!
S. Klonowicz.

Było to w połowie lutego roku 1574. Królewicz francuzki Henryk Walezy zbliżał się do Krakowa, aby osiąść na osierociałym tronie polskim.

„Było obyczajem dawnych Polaków, mówi Andrzej Maxymilian Fredro, chować zmarłego króla dopiero przed samą koronacją nowego, aby ten miał przed oczyma przykład śmiertelności i nauczył się dbać o miłość ludu, a obawiać się jego sądu o błędach. I dobry był to obyczaj, bo nowo obrany król miał naukę przed oczyma że jest prochem, i w proch się obróci, i że do królów nie stósuje się sentencya: *de mortuis nil nisi bene!*... Srogi sąd o nich wydaje historia!

Zygmunt August był ostatnim potomkiem rodu Jagiellońskiego. Polska uczciła ostatniego z Jagiellonów obrzędem rycerskim.

Cały Kraków obstał mury kościoła, w których znajdowały się zwłoki królewskie. Kościół wybito czarnym kirem, ustawiono wspaniały katafalk, a nad trumną wznosił się biały orzeł z spuszczonej skrzydłami, patrzący na zwłoki królewskie.

Przed katafalkiem stali dygnitarze rzeczypospolitej w niemiej załobie i posłowie obcych chrześciańskich mocarstw. Organy

grały ponuro, głucho huczały bębny, kapłan grobowym odzywał się głosem.

Wreszcie po długich modłach zaśpiewano „requiem“, dym wonnych kadzideł owionął trumnę, a po kościele rozległ się płacz i łkanie.

I powstali dygnitarze i zbroję króla swego oddali do rąk posłów. Poseł cesarski wziął hełm, francuzki tarczę, a poseł węg erski wziął miecz królewski i złożyli je na stopniach ołtarza. Poczem wstał wojewoda krakowski i kilka słów rozczulających do zgromadzonych powiedział. Mówił o ostatniej uschłej gałęzce wielkiego drzewa, pod którego cieniem zieleniły się polskie niwy, mówił dalej, że Polska jest dzisiaj jak step bez cienia, a kto ma pragnienie, ten musi w łonie tej ziemi szukać źródła ochłody i pracować jako ranny najemnik. Zagasła ostatnia z gwiazd Jagiellońskich, a Rzeczpospolita jest jak owe pisklęta, którym kokoszy nie stanie! Skruszmy bracia insygnia nasze, połammy miecze zwycięskie, przyszłość nasza zasłonięta!

Rzekłszy to oddał wojewoda łaskę marszałkowską do złamania, a kanclerz dał roztluc pieczęć swoją. W tem dał się słyszeć jakiś głos od drzwi kościoła, rozstąpiły się tłumy, a dworzanin królewski cały w kirysie wjechał pędem na koniu i przy katafalku z trzaskiem padł na ziemię. Był to rycerski obrzęd przy pogrzebie ostatniego z domu!

I nastąpiła grobowa cisza w kościele, brzęk rozłamanej broni i insygniów dygnitarskich rozległ się wśród murów świątyni jak ostatni jęk piersi konającej. Smutno i ponuro stała szlachta, mokrem okiem patrzyła na zwłoki ostatniego z Jagiellonów, a za chwilę miała przysięgać obcemu królowi, miała w jego niebraterskie ręce złożyć drogi klejnot swoich przywilejów.... A tu dom rakuski patrzy na biedną Rzeczpospolitą, forytując swego kandydata, a dumny car ofiaruje syna swego na króla Polakom, byle granice Polski wstecz cofniono.

Bolało to wszystkich, że cudzoziemiec wstępuje na tron, ale pobożni Polacy uspokoili się tem, że nie wedle zdań swoich, ale natchnieni przez Ducha św. spełnili wielkie dzieło elekcji.

Podczas tego smutnego obrzędu pod filarami chóru stał ubogi mieszczanin Sulmierzycki w swej kapocie, czerwonym

pasem przepasany i szczerze płakał za królem, którego nie znał i o którym mało co słyszał, chociaż panował tak długie lata. Koło niego z założonemi na krzyż rękami, śmiało do koła spoglądając, stał młodzieniec dwadzieścia kilka lat mający. Włosy miał czarne, krótko ostrzyżone i w górę zaczesane, twarz piękną i śmiałą a bystre wejrzanie. Przy czarnych włosach i podstawie wyzywającej pięknie odbijały omglone, ciemno-błękitne oczy, w których na przemian błyszczały iskry śmiałych myśli i migotał płomyk cichych, serdecznych marzeń. Był to Sebastyan Klonowicz.

— Czy rozumiesz ty to grobowe milczenie Sierotko? zapytał Sebastyan mieszczanina, to cisza przed wielką burzą. Naród przeczuwa groźne chmury na jasnym, ojcystem niebie, a wkrótce uderzą gromy... ale gromy i burze używiają niwę, a nam potrzeba burz i gromów.... Sierotko, grunt Polski jałowuje....

Mieszczanin spojrział przez duże, gotyckie okno na niebo, czyli na prawdę tam chmur nie ujrzy, ale dzień lubo zimowy, był ciepły i pogodny. Nie obaczył ani chmur, ani gromów, tylko płatek czystego, szafirowego nieba. A przypomniawszy sobie, że Sebastyan coś o gruncie polskim mówił, rzekł do niego:

— Że grunt bez uprawy jałowuje toć prawda, dla tego przyszedłem tutaj, aby cię wziąć z sobą, bo na ojcowiznie zakorzeni się łopuch i pokrzywa.

Ale poeta nie słyszał słów mieszczanina, wieszczem okiem patrzył gdzieś daleko w przyszłość narodu i widział tam wiele rzeczy, co mu łzy z ocz wyciskały.

— Łopuch i pokrzywa korzeni się w pięknej, polskiej ziemi, mówił do siebie poeta, a niema plewiaczy, co by usiedli na tym zyznym zagonie, i wyplewili chwast, co zboże przygłusza...

....A mifa Polska na zyznym zagonie,

Usiadła jak u Boga na łonie....

Mieszczanin nie zrozumiał poety, a nie chcąc w kościele o świeckich rzeczach rozmawiać, uklęknął i przeżegnawszy się głośno, począł mówić: wieczne odpoczywanie.

Sebastyan stał, spoglądał w okolo, śledził ruchy dygnitarzy, a gdy trzask łamanych insygniów po kościele się rozległ, rzekł do mieszczanina:

— Słyszysz ten trzask? Oto łamią godła władzy królewskiej. Mój Boże! kruche żelazo i drzewo łatwo się złamie, gdy je pojedynczo weźmiemy. Ale póki te godła w jednym spoczywały rękę, póki je dzierżyła silna dłoń monarchy, któżby je złamał?...

Długo stali jeszcze obaj pod filarami chóru; jeden w porcorze ducha modlił się za nieboszczyka, drugi z czołem dumnie wzniesionem patrzył na obrzęd pogrzebowy, sięgając wzrokiem głęboko w przyszłość narodu.

Wreszcie skończyło się nabożeństwo, zwłoki królewskie spuszczone do sklepów kościelnych, a marszałek Firlej z innemi dygnitarzami pospieszył do Balic, aby nowego króla u siebie ugościć.

Sebastyan i Sierotka wyszli z kościoła, ale na ulicy miasta za wielki był ruch, aby o zagrodzie Sulmierzyckiej swobodnie pogwarzyć. Po Krakowie przechodziło się mnóstwo obcych panów, sług i żołnierzy, którzy na przywitanie króla przybyli. Mimo tego ożywienia ulic miejskich panowała wszędzie jakaś trwoga i nieukontentowanie. Przechodzący szeptali sobie na ucho o ogromnych szpichlerzach sucharów, soli, drzewa jakoteż prochu, kul i strzelby, które w wielkiej liczbie nagromadzono. W samem mieście zakazano strzelać, a szynkownie niby dla żałoby po królu musiano pozamykać. Poopatrywano warownie Krakowa, cisza głucha, ponura panowała wszędzie.

Mieszczanin Sulmierzycki gapił się na każdego przechodzącego husarza, a Sebastyan opowiadał i objaśniał mu rzeczy, o których Sierotka nigdy w życiu nie marzył. Słyszano sarkających na króla, tu i owdzie wychwalano znowu wysokie jego przymioty i opowiadano sobie, że król Henryk polską flotę wybudować zamysła.

Tu upłynął dzień cały. Zmęczony wrażeniami dnia usnął mieszczanin Sulmierzycki, a Sebastyan siadł przy stole, podparł ręką głowę i dumał długo, bardzo długo. Lubo nie szlachcic, czuł gorącą miłość dla kraju swego, bo czytając rzymską historię weidział, że każdy Rzymianin za kraj chętnie ginął. Piękna tkliwa dusza poety widziała Polskę jak piękny rajski ogród, gdzie:

...Dęby na górze, a olcha w dolinie
 W stare gałęzie uroczyście szasta,
 Owa krynica, co z pagórka płynie,
 Spada ze szmerem i w strumień urasta,
 A sówik w cierniach strzela pieśń mifosną,
 Mała płaszyna aż zatrząsa knieje,
 Z piersi drobnuchnej wielkie tony rosną,
 Z drobnego pyszczka tysiąc dźwięków bije,
 Szpak ostrym głosem zakrzyczeć go pragnie,
 Szczygieł z rozgłośnym szczebioce wyrazem,
 Chrapliwy chruściel odzywa się w bagnie,
 Turkawka jęczy i echo z nią razem,
 Kwiczoły stadem przeciągając codzień
 Kulistą chmurą w powietrze się wznoszą,
 A tyle gwaru, że spieszny przechodzień
 Wstrzyma się nieraz i słucha z rozkoszą...

I słuchał poeta z rozkoszą owych cudnych harmonij, które się odzywały w duszy jego, a którym szlachetne jego serce tak mile wtórowało. Cudowne gaje, pełne kwiatu i woni, przeciągały przed jego oczyma, a wszystko to było cudne, swojskie, ojczyste! I stanęły mu żywo w pamięci owe lesiste brzegi rzek rodzinnych, o których tyle cudów opowiadał mu niegdyś stary Bartosz! Widział szyprow i skutny, wiozące gdzieś daleko chleb polski, roznoszące plony ziemi polskiej..

...Boć to rzecz uczciwa,
 Użyczać drugim chleba, gdy go zbywa...

I słyszał śpiew wracających flisaków, śpiewali wiele o swojej tęsknocie na wodzie i cieszyli się, że wrócą w progi chaty rodzinnej!...

Tymczasem zaświtał ranek. Klonowicz był blady, oczy miał czerwone. Sierotka zdziwił się, widząc go bladego i zapytał go, iżali nie jest chory?...

— Dusza zdrowa, odpowiedział Sebastyan, a o ciało nie dbam wiele. Wiele rzeczy roіło się mi dzisiaj w nocy po głowie, ale ty ich nie rozumiesz.

Mieszczanin zamilkł i z uszanowaniem poglądał na towarzysza swoich dni dziecinnych.

— Wielka nauka odbiera sen i spokój, pomyślał sobie w duchu mieszczanin, i ksiądz pleban po nocach spać nie może.

Medytację tę przerwała wrzawa na ulicy. Król Henryk wjeżdżał uroczyście do miasta. Dzień był pogodny, słońce już dość ciepło przyświecało. Na dachach topniał śnieg i ściekał w dużych kroplach na ziemię. Sebastian i Sierotka wybiegli na ulicę, aby się nowemu królowi przypatrzeć.

Droga od Łobzowa ciągnął się do miasta długi szereg szlachty i wojska. Arcybiskup gnieźnieński jechał w czerwonej kolasce, w koło której dziesięciu było husarzy. Dalej biskup Krasieński, mając przed sobą dwieście jazdy w aksamitach po włosku. Mielecki, kasztelan krakowski, miał w koło siebie jeźdźców z pozłacanymi tarczami. Marszałek i wojewoda Firlej miał trzysta koni, a przy wojewodzie lubelskim harcowało dwieście jeźdźców z sepiami skrzydłami. Litwa jechała w trzy tysiące koni. Tuż za nią wojewodowie pruscy, dalej Tęczyńscy Jan i Jędrzej, Herburtowie, wszyscy z liczny orszakiem, a Stanisław z Tarnow, kasztelan czechowski, wystawił husarzy dwieście ubranych w jedwab i złoto. Najliczniejszy był orszak Komorowskiego, bo miał piechoty do tysiąc.

Zniknęła żałoba po zmarłym królu, dwór polski zajaśniał w bogatych, godowych strojach.

Dziwnie od tego przepychu odbijały tłumy wieśniaków, stojących opodal poza miastem. Śniegiem okryta ziemia wyglądała jak białe, grobowe prześcieradło, a dalej na horyzoncie rysowały się strzechy chat wieśniaczych, od ziemi aż do komina śniegiem zasypanych. Smutne, w niezgrabne łachmany owinięte postacie wychylały się z tych gór śnieżnych i niskim pokłonem witały majestat królewski.

Smutek ogarnął serce poety, gdy widział ten przepych obok ubóstwa i nędzy. Oparłszy się o drzewo stojące przy drodze, powiódł okiem po świetnym konwoju i powiódł okiem po zasypanych chatach wieśniaczych i dumiał w duchu:

„Starszyzno! którą naród za swych panów baczy,
Której sprawy na barkach dźwiga gmin wieśniaczy,
Której z woli niebiosów, czy z dawnej umowy,
Poddaństwo święci pracę i pieniądz czynszowy,
A wy pomimo prawa i obyczaj stary
Mnożycie nowe jęki i nowe ciężary!...

Patrząc na kolebki biskupów, a widząc na nich wyślacane herby, bolał poeta nad tą pychą szlachecką w duchowieństwie, wyrzekając w duchu:

...Pocoć i ciebie księżu to szlachectwo negi,
Rznieś dziwaczne zwierzęta w herbownej pieczęci,
I mniemasz że nie godzien biskupiej tyary,
Kto nie zdobien w klejnot i pergamin stary,
O Pan wasz chodził bez herbownych znaków...
A wy następcami ubogich rybaków...

Wcale inaczej patrzył Sulmierzycki mieszczanin. Takie widowisko pozbawiło go zmysłów; stał z szeroko otwartymi oczami i podziwiał bogactwo orszaków. Z pokorą pochyłał głowę przed każdym dygnitarzem, bo tego nauczał go wójt Sulmierzycki, jego opiekun. On nie widział chorób społeczeństwa polskiego.

Długo i leniwo ciągnął się pochód do miasta. Zatrzymywano się co krok i czekano na króla. Nie daleko bramy floryańskiej spoczął orszak, bo król miał konno do miasta wjechać.

— Patrz Marcinie! zawołał na mieszczanina Klonowicz, ten wysoki, barczysty mężczyzna z ponsową deliją to marszałek i wojewoda krakowski, Firlej.

— A ten niski, pochyły, co z nim mówi? zapytał Sierotka.

— To Jan Zamojski, starosta bełzki, wysokiej nauki mąż!

I ucichli obaj, bo wojewoda właśnie do starosty coś mówić począł.

— Po królewsku przyjąłeś króla w Balicach, mości wojewodo, rzekł Zamojski.

— Bóg mi świadkiem, żebym go jeszcze lepiej pożegnał, gdyby chciał sobie pójść z Polski, odpowiedział wojewoda,

— Wzdy za nim nie głosował kraj cały?

— Wierzaj mi mości starosto, Bóg zesłał go Polsce za karę!... Mógłby przecie być królem Piast.

— Piast! Piast! zawołał z gniewem starosta, tożby się rodzina jego nadymała, wszystkieby urzęda posiadała, a gdzie równość szlachecka?... Jak widzę, ty mości wojewodo jesteś gotów z przed nosa koronę mu unieść...

Długo nie mógł mieszczanin Sulmierzycki przyjść do siebie. W głowie szumiało mu i luczało, w oczach ćmiło mu się jak gdyby był patrzył w otworzone niebo, tyle widział dzisiaj dziwów. Wreszcie przyszedłszy do siebie, zataęsknił do cichego miasteczka, które go gościnnie w swoje grono przyjęło a chcąc jak najprędzej gwarny Kraków opuścić, zapytał się Sebastjana, kiedy się w podróż udać zamyśla. Klonowicz mu na to nie odpowiedział. tylko westchnął i zadumał się.

— Górna nauka szkodzi rozumowi, myślał sobie mieszczanin, patrząc niezrozumiałem okiem w piękną, natchnioną twarz przyjaciela.

I w samej rzeczy czuł się poeta w tej chwili natchnionym. Wielkie drama odbywało się przed jego oczyma, wieszczem okiem rozpoznał charaktery występujących aktorów, słyszał dysharmonję w chórach grupujących się koło tego wielkiego, narodowego zdarzenia. Przerażała go przepaść dzieląca między sobą stany społeczeństwa polskiego, zatrwodził się przyszłością. Ale wkrótce wypogodziło się piękne czoło poety, pokraśniał na twarzy, a ściskając za rękę mieszczanina zapytał go:

— Czy widziałeś panów naszych?

— A jużciż widziałem; wielcy, bogaci panowie, odpowiedział Sierotka.

— A widziałeś lud nasz opodał stojący?

— Wszakci wszystko widziałem, chociaż mi się mnożyło przed oczami.

— Czy myślisz, że lud nasz i panowie kochają się wzajem jako mieszkańcy jednej i tej samej ziemi polskiej?

— Dla Boga! a cóż panom do tego motłochu, co z bydłami razem mieszka, zawołał mieszczanin Sulmierzycki, czując na swoich skroniach świeży chrzest mieszczaństwa.

Klonowicz uśmiechnął się z goryczą i rzekł:

— Sierotko, wszyscy razem, panowie, mieszczenie i lud co orze, stanowimy jeden naród, a w Bożym narodzie powinna być wspólna miłość od najwyższego do najmniejszego. Ale chciwość i pycha rozdziela często na ćwierci i przeszkadza mu, aby jego sprawy były, jako sprawy jednego męża. A wiesz ty co w takim razie mądrzy królowie robią?... Oto rozszerzają

w kraju nauki, a nauka spaja ludzi jak cement pojedyncze bloki kamienia i tak powstaje gmach ojczyzny. Ludzie poświęcający się naukom są owym cementem, co łączy wyższych i niższych, a wiesz ty, że do spajania używają złotnicy najszlachetniejszego kruszcu?...

Mieszczanin wytrzeszczył oczy, wyteżył wszystkie nerwy mózgowe, ale słów tych nie mógł pojąć.

— Widzisz te mury? prawil dalej poeta w natchnieniu, pocałuj je, bo w nich są perły i dyamenty królowej Jadwigi. To jest „contubernium“ czyli fundacya dla biednych, którzy się chcą uczyć i nauką swoją w ojczyźnie świecić.

— Ba!... ozwał się mieszczanin... uczyć się, ale cóż po tem?

— Patrz! w tych murach, małym będąc chłopcem, znalazłem kącik dla siebie. Ubogą strawę żywiłem ciało moje, ale duszę karmiłem harmonią wielkich poetów, serce napawałem u źródła dziejów bohaterskiej przeszłości!...

Mieszczanin posmutniał i pokręcił głową.

— Więc nie pójdziesz ze mną do Sulmierzyce, gdzie grant ojcowski chwastem zarósł, a dom się wali?..

— Ja mam pójść do was?... ja Acern... zawołał poeta w uniesieniu, lecz po chwili ochłodnawszy rzekł smutno: Nazywają mnie Acernem, od klonu.

— Mógłbyś przyjąć miejskie, mówił Sierotka, a z czasem objąć urząd ojcowski. Imię Klonowiczów jest u nas w poszanowaniu.

— Wójtęm w Sulmierzycach? Poczciwy Sierotko! ty mnie nie pojmujesz. Jestem doktorem filozofii, to jest mistrzem wielkiej prawdy, która jest na świecie. Sulmierzyce są dla mnie za małe — grunt mój rodzinny, to jest cała Polska.

Sierotka podumał chwilę, myślał nad tem, co mu towarzyszy jego z dni dziecińczych powiedział, ale tego ani pojąć, ani zrozumieć nie mógł. Zdawało się mu, że trzeba rozum stracić, aby porzucić kilka włók ojcowizny, a za to kraj wielki, obcy, należący do króla i panów nazwać gruntem ojczystym!... Tylko szaleńcom zdaje się, że są panami całego świata... w mieszczan-skiej głowie nie mogło się to pomieścić, on nie wiedział, że z szaleństwem graniczy wielkie, szczytne uczucie, najwyższa cnota na ziemi... miłość społeczeństwa!...

Podumawszy chwilę rzekł:

— Sebastyanie! Jestem bez nauki, nie pojmuję tych rzeczy, o których mi prawisz. A jednak moim prostym rozumem zdaje się mi, że nie ja lecz ty jesteś sierotą na tym Bożym świecie.

Lekka mgła smutku przyćmiła oko poety. Pospolity rozum mieszczanina przeczuł instynktem sieroctwo jego na ziemi — sieroctwo każdego wyższego ducha!

— Nie, rzekł po chwili Klonowicz, nie wrócę z tobą.

— Cóż zrobisz z gruntem, który twój rodzic uprawiał? zapytał smutno Sierotka.

— Dla siebie wiele nie potrzebuję, a to, co sobie zarobić mogę, wystarczy mi. Grunt mój w Sulmierzycach dam ubóstwu albo kościołowi na cześć Boga...

— A na grób?

— O na grób wystarczy w Polsce ziemi...

— Bo to gdy człowiek do jakiej gromady nie należy, to za te trzy łokcie ziemi w obcym mieście zapłacić każą...

I otarł łzę biedny mieszczanin i chwycił za kij podróżny.

— Bądź zdrów Sebastyanie! zawołał wśród łez, bo mi tęskno do Sulmierzyc. Jam był sierotą i wiem jak gorzką jest dola sieroty. Dzięki twemu rodzicowi jestem mieszczaninem, a Sulmierzycę to jak moja rodzina. Chcę spieszyć do niej. A ty... ty puszczasz się w świat... chcesz być sierotą!...

Ale Sebastyan nie słyszał rozculających słów swego towarzysza, podparł głowę, a przed jego duszą odsłonił się jakiś piękny, różowy świat — skrzydła aniołów uniosły go w rajske krainy, gdzie widział wybranych z palmami w rękach i w białych szatach, śpiewających hymn wielki i wzniosły, a serce jego wtórowało tej pieśni!...

III.

— Powiedz mi, powiedz, gdzie bawi mój miły,
Przywiedź go rychło do mojego łona!
Choćby nas kraje zamorskie dzieliły,
Zaklinaj, niech przyjdzie, bo umrę strapiona!...

S. KLONOWICZ.

Uroczystość powitania nowego króla zwabiła wiele szlachty do Krakowa. Gospody były pełne, na ulicach przechadzały się tłumy obcych, patrzących ciekawie na rozłożone zamorskie towary. Korzystając bowiem z tak liczego zjazdu, przybyli do miasta kupcy i kramarze z różnych części świata, ofiarując swój towar za złoto polskie. Grecy, Włosi, Niemcy od Szłaska i liczni Żydowie porozstawiali przed bramą floryańską budy swoje i głośno zachwalali przednie towary. Jedwab z Lugdunu, hallas, tabint, korale i bursztyn gdański, wszystko to porozkładali kupcowie, a stary, brodaty Grek, przy rogu wieży siedzący, mówił wiele o baszach tureckich, którzy od niego towar biorą i trzy razy więcej mu płacą, jak on dzisiaj od Polaków żąda.

Obok Greka siedział kramarz z Lublina z koralami Cichy, wybladłej twarzy, siedział za stołem i nic nie mówił, bo za niego mówiły długie bicz czerwonych koralów, leżące w wielkich stosach na stole.

Młódź szlachecka przechadzała się tłumem poprzód budę koralnika, zaglądała przez okno aż do środka małej izdebki i szemrała z nieukontentowania, że prócz wybladłej twarzy

2*

amarza nie więcej tam ujrzyć nie można. Do tego kramarz patrzył dzisiaj jakoś srogo na przechodzących, marszczył brwi i mrużał, śnać nie wiele ulargował.

— Kogoż widzisz w budzie? zapytał jeden z młodzi.

— Widzę piękne, przecudne korale, odpowiedział zapytany.

— Co mi tam korale! Ona ma piękniejsze usta jak korale... a jej oczy to jak dwie szpinki brylantowe...

— Czyje oczy? zapytał ktoś.

-- Nie znasz? Któż z naszych nie zna Krystynki, córki koralnika lubelskiego?

I spojrzeli wszyscy kolejną do budy kramarza, ale owych ust koralowych, ani tych oczek, jak szpinki brylantowe świecących, tam nie było.

Krystyna, córka kramarza, jest ładna, bardzo ładna dziewczyna. Jej włosy to jak kora z cedru odarta, usta jak dwa najpiękniejsze korale, o jakich jej ojciec dniem i nocą marzy, a gdy te usta do śmiechu złoży, odsłoni się skarb jeszcze bogatszy, bo dwa sznurki pereł królewskich najczystszej wody. A cóż mówić o samym uśmiechu?... Nie tak ładnie i zachwycająco przebiegają pierwsze promienie zorzy po bladym, lekko zafarbowanym niebie, nie tak pięknie rozłamie się promień słońca na modrych licach wody, ani wietrzyk tak miłe nie rozdmuchnie fal na przejrzystym jeziorze, jak na jej twarzy maluje się uśmiech zalotny. Rzekłbyś, że cię jednym tym uśmiechem oczarowała, że z piersi twojej gdzieś do niej serce na zawsze się wykradło!

Krystyny niema w budzie koralnika, już od dwóch dni nikt jej nie widział z młodzi szlacheckiej. Daremnie chodzą poprzód bramą floryańską, targują korale a nawet jaki taki coś kupi, ale nikt nie ujrzy ładnych oczek Krystyny, ani jej białych zębów, ani nie upoi się jej czarodziejskim uśmiechem. Od dwóch dni siedzi w gospodzie, załamuje białe ręczki i pyta starej Małgorzaty; czy go nie widziała? Małgorzata kręci głową i szepce pacierze, a Krystyna załamuje ręce i płacze.

Wreszcie skończyła stara Małgorzata swoje pacierze, a siadłszy pod oknem na wielkiej skrzyni tak mówić zaczęła:

— Nie smućcie się Krystyno, wszakci nie on jeden na świecie. Szodrak, pisarz z skabinatu, dorodny chłopak, a kiedy mnie tylko zdybie, to zawsze mi coś do ręki wsunie i szepnie: Czołem pannie Krystynie.

— Szodrak jest ładny chłopak, odpowiedziała Krystyna, ale ja za takiego nie pójdę, co w sieni ratuszowej z papierami pod pachą stoi, gdy rajcy wewnątrz radzą.

— Prawda, prawda, nieboszczka wasza matka zawsze mi mówiła: Moja Krystyna to jak jakie paniątko, biała jak krew z mlekiem, Krystynka musi być wielką panią!... Wieczne odpoczywanie... była to dobra kobieta, wasza nieboszczka matka!

Krystyna otarła zapłakane oczka i zerknęła do zwierciadła. Ujrzała tam oczy aksamitne, zębki białe i pomyślała sobie w duchu: Jużciż prawdę mówiła nieboszczka matka, mnie być wielką panią! A muskając dłonią po włosach, rzekła do starej Małgorzaty:

— Mamci ja więcej kawalerów, daleko lepszych od Szodra. Wieczorem chodzą popod nasze okna, a jeden nawet czasem jakie słowo do mnie mówi. Znać Marcina Szypkę?

— A czego bym go nie znała? Na moich rękach się wychował. Pani Szyrkowa, (świeć jej Panie!) była to dobra kobieta. Ale stary Szytko do góry nos zadziera. Księża Jezuici na nowy klasztor zakupili od niego dom i sownie mu zapłacili. Do tego przyobiecali przed tym ołtarzem, który na tem miejscu stać będzie, rok rocznie odmawiać mszę świętą po wsze czasy, aby się Szytkom na świecie szczęściło, a po śmierci żeby rychło do nieba poszli. Szytków będzie Bóg błogosławił!

— Ja o Szytku nie myślę, bo on wcale mi się nie podoba. Mówią ludzie, że skąpy, a gospodyni co u nich służyła opowiadała mi, że wszystkiego w domu baczy jak oka w głowie. Szytko nie dla mnie, ja za skąpego nie pójdę.

— Prawda, prawda, odpowiedziała stara sługa, Szytkowie to skąpcy, jakich świat i korona polska nie widziała. Zdzierali ludzi, a nieboszczka Szyrkowa (świeć jej Panie!) to była jędra, skąpica, wszyscy ją przeklinali.

W tem otworzyły się drzwi izdebki. Krystyna spojrzała czem prędzej do zwierciadła, poprawiła włosy i skłace, załotne

spojrzenie rzuciła ku drzwom. Ale na progu izdebki okazała się jakaś stara, szpetna postać, z torbą u szyi a kijem w rękę.

— Krystynko! Krystynko! zawołała.

— Wszelki duch... Marto! krzyknęła Krystyna.

— Święty Jędrzeju! ozwała się Małgorzata, toż stare babsko na miotle tutaj przyjechało!

Stara Marta obejrzała się po izdebce, poprawiła torby, co jej u szyi wisiała, a wykrzywiając twarz do śmiechu rzekła:

— Ja to, ja, stara Marta, Krystyno — babsko stare przy-
czogąło się jak żółw od Rusi aż do Krakowa!...

— Mój Boże!

— A wara... ofuknęła stara wróżbitka.

...Z Bogiem nie zdobyć piekielnych podwoi,

Niebios i piekieł rozliczna jest władza,

Kogo Bóg wspiera, to szatan się boi,

Kto trzyma z piekłem, Bóg mu nie przeszkadza...

— Co ty pleciesz Marto?...

— Co ja pletę?...

Gdy nów niebieski promieniem wystrzela,

Wyniđź wieczorem w wesołej otusze,

Ja warząc proso i czarownic ziele,

Będę je męsząc i zaklinać duszę...

— Ty umiesz zaklinać, Marto? O proszę cię... ten sznur...
koraliki... a zaklniesz go?... Cóż mam czynić?...

— Co masz czynić?...

...Siedzisz na ziemi odważnie i śmielesz,

Wywrócisz suknię bramowaną w szlaki,

Ja ci udzię czarodziejskie ziele,

Co cię ochroni od klęski wszelakiej...

— A gdzie on?

— Gdzie?...

...Może on sfodzi swe wieczorne chwile,

Może od twojej miłości odwyknął

I inszej dziewce dał serce motyle...*)

— Marto! nie mów tak!

— Dla czego nie? Ja to widzę, odpowiedziała wróżbitka.

— I cóż widzisz?

— Nic, nic, oł zły duch omamnia.

*) Z Kłonowicza.

— Więc nie mi nie powiesz Marto? zapytała smutno Krystyna.

— Wiele, wiele mogę ci powiedzieć... ten sznur koralu... pokaż rękę.

Krystyna położyła na stole białą, drobną rączkę i dwoje ocz aksamitnych wlepiła w wróżbitkę.

— Wielkie, wielkie szczęście, mówiła z cicha wróżbitka, będziesz kochaną nad wszystkie niewiasty ziemi...

— A kto będzie moim mężem?

— Mąż wielki i znakomity... panowie klaniać mu się będą, a król rękę mu poda...

— Słyszysz Małgorzato? zawołała Krystyna, a oczy jej błyszczały jak szpinki z dyamentu.

— Nie na darmo mówiła wasza nieboszczka matka, że wam być panią! była to dobra, pocziwa kobieta!

— Cóż dalej, Marto?

— Widziałam go, gdy stał w kościele nie daleko króla, a w babińcu rzucił mi dukata... Miał sto husarzy w koło siebie...

— Czy jest bogaty? pytała Krystyna.

— Będziesz chodziła w jedwabiu i bisiorze, a mieszczki Lublina patrzeć będą na ciebie i mówić: Wždy to córka koralnika, co mieszkał na słomianym rynku?

Krzyk w gospodzie przerwał wróżbitce. Schowawszy korale do torby, wyszła Marta obiecawszy przyjść inną razą.

W sieni gospody stało kilku zbrojnych husarzy i z uszanowaniem słuchali rozkazów stojącego przed nimi młodzieńca w pełnej, stalowej zbroi. Ujrzawszy wróżbitkę, zbliżył się do niej młodzieniec i rzekł:

— Cóż babko, mówiłaś z nią?

— Cyt, cyt, szepnęła Marta wskazując na drzwi, nie od razu Kraków zbudowany!

I położyła dwa palce na ustach na znak milczenia. Młodzieniec rzucił jej sztukę złota, a dosiadłszy konia w czwał ku zamkowi pogonił.

Krystyna i Małgorzata siedziały w izdebce i nie widziały, co się w sieni gospody działo. Słowa wróżbitki dziwnie przypadły im do serca i dotąd nie mogły przyjść do siebie. Krystyna

widziała się w jedwabiach i w bisiorze, wszystkie mieszczki Lublina wskazywały na nią palcami i pytały się: Wždy to ta sama Krystyna, córka koralnika, co mieszkał na słonianym rynku?... Stara Małgorzata opowiadała, jak dobra i pocziwa była nieboszczka matka, a jaką jędzą była stara Szypkowa!...

— Słyszałaś Małgorzato? rzekła po chwili marząca dziewczyna, będzie bogaty i król mu rękę poda!...

— Czemu nie? starosta bełzki*) mówi zawsze do niego: Mój przyjacielu.

— Ale Sebastian nie bogaty? westchnęła kochająca dziewczyna.

— Nie bogaty! Cóż z tego? król mu poda rękę, a to znaczy, zrobi go panem. Bo komużby król rękę podawał? A jaki ładny! Jakby na pana stworzony! W kościele stał jakby starosta jaki!...

— Mówią, że to syn biednego mieszczanina...

— A nasz Radny Krajkowski? Syn dziada kościelnego, a dziś Krajkowscy państwo całą gębą! Kogo król i wielcy panowie polubią, tego wezmą między siebie jak swego. A będzie mu dobrze jak panom. O Sebastianie wielkie rzeczy mówią.

W tem otworzyły się drzwi izdebki, wszedł Sebastian.

— Trzy dni nie widziałam ciebie, krzyknęła Krystyna, rzucając się kochankowi na szyję.

— Tak! trzy dni — odpowiedział smutno poeta, te trzy dni pozostaną na zawsze w mojej pamięci!...

— Cóż się to stało? starosta bełzki... może sam król..

Kłonowicz był smutny i zadumany. Na zapytanie kochanki nie odpowiedział. Po chwili wstał i począł się po izdebce przechadzać. Krystyna smutno patrzyła za nim, gniewając się w duchu, że jej Sebastian ani o starości bełzkim ani o królu nie powiedzieć nie chciał. Pewnie spotkał go jakiś zaszczyt!

— Czemuś tak smutny, Sebastianie? zapytała po chwili, przybliżając się do niego.

— Czemuś smutny?... Mam się cieszyć patrząc na to, co się w Rzeczypospolitej dzieje?... Słyszałaś wystrzały?...

*) Zamojski.

W tej chwili powstał wielki zgielk na ulicy. Klonowicz przystąpił do okna i rzekł do siebie:

— Wapowski, kasztelan przemyski! Rysia skóra cała krwią zbroczona! Lud krzyczy na mordercę... Samuel Zborowski morderca!... piękne ma gody Jędrzej *) O Polsko! czarne niebo nad tobą jak kir śmiertelny! Starsza bracia grzeszy w obec Boga i ojczyzny, a lud patrzy na zbrodnie tych, którzy mu przodkują!...

— Cóż ciebie to obchodzi? zawołała z gniewem Krystyna, niech się biją... a co mówił do ciebie starosta?

Sebastyan długo jeszcze stał przy oknie, patrzył na tłumy szlachty i husarzy, wieszczem uchem słuchał gwaru z ulicy i zdawało mu się, że słyszy chrzęst łańcuchów piekielnych, widzi szatanów czyhających na to, co on tak mocno ukochał, widzi plemię czerwonych Judaszów, sprzedających krew i wiarę ojców swoich..

Tu obudził go pocałunek kochanki. Ściśnięte boleścią serce poety uderzyło żywiej, spojrział przed siebie i ujrzał aksamitne oczy jak dwa dyamenty i dwa rzędy białych pereł.

— Ty niewdzięczny! a jam płakała za tobą! mówiła ze łzami dziewczica.

— Tyś płakała za mną? O Bóg mi świadkiem, że po Polsce i muzie tyś mi najbliższą serca!

— Czemu nie przed Polską i tą muzą twoją?

Rzekłszy to zarzuciła dwoje białych rąk na szyję poety, przycisnęła go do piersi gorącej a na czole jego wycisnęła ognisty pocałunek. Sebastyan uczuł żar w sercu, piękne jego oko zabłysło jak światło gwiazdy wieczornej, a tłumy uliczne milkły coraz więcej... i zrobiło się głucho w małej izdebce. Wszystko to, na co przez trzy dni z bolącym patrzył sercem, wionęło jak mgła z przed jego duszy, a w koło niego było tak jasno, tak błogo!... uciekły straszne widma, co go tyle trwożyły, nie widział klęsk narodu, wieszczem okiem przed chwilą dopatrzonych, bo przed nim stała dziewczica, piękna jak anioł i białą rączką otwierała mu złote nieba podwoje!

*) Zborowski.

Zdawało się pocię, że wśród szlachetnych cierpień jego, zesłał mu Bóg anioła, aby płacząc z nim, wiódł go przez ciernie i głogi w pielgrzymce żywota... aby go wiódł do otworzonych nieba podwoi, gdzie go odzieją w białe szaty i palmę wybranych do rąk mu dadzą!...

Tak marzył poeta na ziemi, a w niebie zapłakał nad nim jego stróż anioł, spuszczać mu na głowę wieniec — cierniowy!

Ale poeta nie czuł cierni, bo długi ognisty pocałunek łączył w tej chwili serca kochających na zawsze!...

—•••••

IV.

Młotek uderza po dźwięcznym metalu,
Echo powtarza za każdą godziną,
Minęła chwila!... o warta jest żalu,
Bo czas szacowny bez powrotu płynie!.

S. KLONOWICZ.

Nad brzegami Bystrzycy ocieniony staremi lipami stał dworek modrzewiowy. Smutna cisza panowała w okóło. Na dziedzińcu był mały stawek, a stadko kaczek uganiało po wodzie. Słońce zniżyło się ku krawędzi widokregu, liście na drzewie już żółknąć poczynaly, a po niebie żeglowały białe, jesienne chmurki.

Pod wystawą stały narzędzia gospodarza, wozy, pługi i brony, a na murawie pasło się kilka chudych koni. Strzecha na stodołę mchem porosła i gdzie niegdzie poobdzierana wyglądała jak jakie ostrowie z kępą i oczeretem.

Z pola powracał młody w brunatnym żupanie mężczyzna. Miał ręce w tył założone, a stawając co kroku, patrzył na pobliskie zielone wzgórze, na którem widać było rozpierzchniętą trzodkę i kilku pastuszków. Słońce zachodziło poza to wzgórze i całą trzodkę przystroiło w złotą wełnę. Cudny, zachwycający był to widok dla poety. Stał i dumał; ciche, przeciągłe westchnienie uleciało mu z piersi, a gdy znowu na wzgórze spojrział, już nie było na niem trzodki o złotem runie ani pasterzy w szkarłatnych opończach, tylko ciemna, bezkształtna bryła, masa cieni, wykrojona jak garb wielbłąda na jasnem tle nieba. I pędzszym krokiem ruszył do dworku.

W dworku już było dosyć ciemno. Na modrzewiowych ścianach wisiały obrazy świętych, między którymi w samym środku był obraz świętego Sebastjana, jak go do drzewa przywiązano i z wolna strzałami ubito. Przed Najświętszą Panną z Jasnej Góry wisiała lampa. Na poprzek izby u pułapu był belek, a na nim misternie wyrzeźbiony krzyż i napis: Panie błogosław ten dom i mieszkających w nim.

I snąć musiał Bóg błogosławić mieszkającym w tym domu, bo w oczach pięknej kobiety, opartej na dużym lipowym stole, błyszczały dwie jasne łzy, wiszące u rzes jedwabnych jak dwa dyamenty. To łzy cichego szczęścia, tęsknoty za gospodarzem domu, który wyszedłszy do pracy tak długo nie wraca! A czekają go dwoje łabędziej rączek, które mu szyję oplotą, okażą mu łzy tęsknoty i przycisną go do tego serca, z kąd te łzy wyszły!...

Wreszcie otworzyły się drzwi izdebki.

— Sebastjanie! zawołała piękna kobieta, ja dłużej w tem pustkowiu siedzieć nie będę. Trawę, chmury i niebo widzę tylko z okna, a w koło głucho, aż płakać muszę!

— A jam szczęśliwy dzisiaj Krystyno! rzekł Sebastjan przytulając piękną kobietę do piersi.

— Szczęśliwy? powtórzyła Krystyna.

— Słońce zachodziło precudnie, mówił w zapale poeta, na polu orało kilku kmiotków. Chodziłem z nimi koło pługów i rozmawialiśmy. Opowiadali mi o pięknej ruskiej ziemi, o wysokich, lesistych górach, poza które słońce się chowa, a jeden z nich opowiedział skazkę o miłości Fedory, jakiej i Owid w swoich księgach niema. Krystyno! jam szczęśliwy, zdaje mi się, że znalazł skarby, wielkie skarby dla mojej duszy... a serce mi mówi, że te skarby winienem oddać narodowi!...

Błada kobieta o aksamitnych oczach spojrzała w piękną, natchnioną twarz młodego małżonka, ale słów jego nie pojęła.

— Skarby! mówisz, odkryłeś, jakie skarby? zapytała skwapliwie.

— Skarby, którymi mój naród przed całą Europą szczycić się będzie!

— To je przynieś! przynieś, mówiła spiesźnie, skarby to jedyne szczęście, bo czemuż jest człowiek bez skarbów? Wszysey go za nic mają, musi mieszkać w pustyni tak jak my, podczas gdy inni jedzą i piją i w bisiorach chodzą!... O jam nie zapomniła, co mi powiedziała stara Marta w Krakowie, ja wiem, że będę bogatą, a jedwab i bisior będą moją odzieżą. Kapela będzie nam przygrywała w komnatach złoconych, a sąsiedzi zaglądać będą przez szpary okiennic i mówić między sobą: Klonowicze to ludzie bogaci, u nich miód w dzbanach na stole... Nie prawdaż Sebastyanie?

Klonowicz usiadł przy stole, a podparłszy ręką głowę zamyślił się głęboko. Pieszczoty pięknej małżonki obudziły go z zadumy. Spojrzał w oczy aksamitne i rzekł:

— Nie płacz aniołku, ja jestem bogaty, jak król ziemi. Moich skarbów nie spali mi ogień, nie zabierze woda, szat moich i bisiorów mole nie pogryzą — wszystkie te skarby mam tu...

I wskazał na serce.

— A między wszystkimi jesteś ty najdroższym skarbem moim.

Rzekłszy to ucałował małżonkę i do gorącej przycisnął ją piersi. Twarz młodej kobiety okrasila się rumieńcem, ziemskie jej serce zadrnęło ostatkiem pięknych, młodych uczuć, bo przy niem było wielkie, szlachetne serce poety.

— Tyś moim skarbem Krystyno! mówił przerywanym głosem poeta, ale prócz ciebie kocham jeszcze wielu, wielu ludzi! Wszystkich ludzi, co mieszkają od Karpat aż ku morzu na północy, kocham jak braci moich, sława ich jest moją dumą, bogactwa ich są memi skarbami!...

— Stara Marta mówiła, że ty będziesz bogaty, szlochała w uniesieniu najwyższego szczęścia kobieta.

— Zaiste! kto taką miłość w swej duszy uczuje, ten jest bogaty!

Krystyna położyła głowę na piersi poety i wylewała łzy szczęścia, że jej mąż będzie bogaty, a ona będzie chodziła w drogich szatach! I poeta marzył o bogactwach rodowitej ziemi swojej, widział w duchu jej szaty lesiste, modre wstęgi

i bogate kamienne miasta! On słyszał cudne tej ziemi powieści, widział rolnika orzącego swoją włokę, gwarzącego wesoło w gronie rodziny. Ileż to skarbów dla poety kochającego ziemię swoją?

— Krystyno! zawołał po chwili, ja cię porzucę... na długo, na długo!

— Ty mnie porzucisz?

— Tak mi tu coś wre i kipi, mówił dalej kładąc rękę na sercu, tak mnie coś woła i nęci, abym szedł, tam daleko... tam gdzie ten siny rąbek gór.... I wskazał na południe.

— I po cóż tam pójdziesz?

— Pójde szukać skarbów, które przeczuwa dusza moja... do których rwie się serce w piersi...

— Po skarby?... a kiedy wrócisz?

— Przed śniegiem.

— O to idź, idź spiesźnie, a ja z tęsknotą oczekiwać cię będę

I dwoje białych rąk owinęły szyję poety, jak dwie młode gałązki woniejącej róży. Poeta pił z źródła szczęścia, wpatrzył się całą duszą w młody, świeży kwiat swoich roskąszy i nie wiedział, że z młodych tych gałązek kiedyś wypuszczą się ciernie i oplotą go wieńcem cierniowym!...

Nazajutrz był Sebastyan w drodze, a Krystyna usiadła przy oknie modrzewiowego dworku i patrzyła na fale Bystrzycy, marząc o bogatych, jedwabnych szatach.

Były to najpiękniejsze chwile w życiu poety. W skromnej odzieży, z kijem w rękę, szedł samotną drożyną, jedząc chleb suchy i pijąc z krynicy leśnej, a szedł z dumą w sercu, z czołem w górę wzniesionem, jakby szedł przez rozległe włości swoje. Rozmawiał z lasami, podsłuchał szmer wody i pojął żałośnie skargi wiatru wiejącego od stepów ukraińskich. Widział jak rolnik w lesie szuka krzywego drzewa na sochę, jak je wygina nad parą wody gorącej, jak robi radło lub gnie obłaki na koła do wozu. Z daleka słyszał wóz Rusina, bo Rusin

...Kłodek kołnych tłuszcem nie powleka,
Ani żywica napoi swej osi;
A ruski wózek posłyszysz z daleka,
Skrzypi i jęczy jakby o co prosi!...

Poeta wpatrzył się całą duszą w życie ludu, dotarł do najskrytszych jego tajników. Z ust ludu płynęły dla niego cudowne powieści: jak wąż wysysa mleko cielicy, jak kwiczoły zaszczipiają na dębach rośliny pasożytne, jak pasterze przyrzadzają nabiał i przysmaki, jak wieśniak, co utonął w dziuple dębowej, napełnionej miodem, ratuje się pochwycawszy niedźwiedzia za łapę, bo

...Choć ruska ziemia niema winogrodu,
Za to nam pszczoły miód obficie wloką;
Dość jeno zajrzeć do lasu lub sadu,
Tam pełno plastrów z klarowną patoką...

On zajął na dno piersi wieśniaka i widział tam jego bole i roskosze. Od kolebki aż do trumny wiódł za nim okiem: w kościele widział chrzest jego, na pogrzebie podłuszczał mowę kapłana:

...Wioskowe dziecię zaledwo w powiciu,
Zaledwie Boży świat ujrzy z oddali,
Słuszna mu płakać, bo na dalszem życiu,
Nie mały ciężar na barki się zwali...
Słuchaj, jak matka nad małą kolebką
Śpiewa jękliwie i w nocy i we dnie:
— Nie płacz malutki, a hoduj się krzepko,
Te łyż to twojej doli przepowiednie,
Poczynasz płakać i tak aż do końca
Płaczliwa będzie piosenka twej doli!...
Rzekła i usta spiekłemi od słońca
Kładzie całunek na drobne pachole...

Baby poniosły dziecko do kościoła, gdzie mu dano innię, a przyniesione do domu:

...W drżącej kolebce, owinięte w szmaty,
Ma pokarm gruby i nie wiele warty:
Nie często matka przychodzi do chaty,
A dziecko rośnie jako dziecię Sparty...

Tymczasem urosło dziecię, w jego sercu zapłonęła miłość. A jaką to miłość widział poeta u ludzi! Tęskne, namiętne serce Rusinki nie gardzi czarami. Czarownica warzy ziele i za pomocą złych duchów sprowadza kochanka!

Mijają chwile miłości, serce bić przestaje. Na murach leży trup wieśniaka, a wioskowa płaczka zawodzi, że nieboszczyk opuścił świat ten mając zboże, ogród, siedm par cielie

Miejska Biblioteka
Im. Juliusza Słowackiego
ul. Staszica 6, tel. 431
L. 1000000

i tyleż wołów. Piętnaście krów, trzoda owiec, stado gęsi, pszczoły, wszystko pracowało jemu gwoli, a on poszedł na wieczne pokoje!...

Ksiądz modli się nad trumną i wzywa oddźwiernego niebios, św. Piotra, aby jako dobry klucznik pana otworzył mu bramę światłości.

...Gdy będzie niebios dopraszał się z płaczem,
Jego prostotę miej w życzliwym względzie,
On nie był mówcą, lecz jeno oraczem,
Może nieskładnie tłumaczyć się będzie.
Niech cię nie gniewa jego postać dzika,
Kładź ducha jego na przychylny szali,
Święty Rybaka pokochaj rolnika,
Wyście po prostu Chrystusa kochali!...

Z wiejskiego zacisznego smętarza zwrócił poeta swoje oczy na grody ziemi ojczystej i pysznił się wyniosłością ich murów. Podziwiał Lwów i śpiewał w duszy:

...Lwowie kamienny! nowość cię nie mami,
Nie daj się zachwiać jak wątłe ziele,
Wiekować tobie z twojemi basztami,
Z twemi kościoły i krzyżem na czele
I z twoją górą, co ku niebu idzie!...

Na brudnych przedmiejskich kałużach widział chałupy żydów i od razu dojrzał w złych przyszlą plagę kraju. Jak mól zwolna i nieznacznie szatę kosztowną przegryza,

Tak żyd włóczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpije się i wzroście,
Nasze bogactwa pożre i przetrawi,
Pochłonie wszystkie kraju posiadłości,
Obaczą króle, z kąd szkodliwa rana,
Rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
Gdy krew z jej ciała będzie już wyszana,
I wszelkie życie obumarłem zda się...

Uronił kilka łez poeta i czem prędzej wracał nad brzegi Bystrzycy do dworku z modrzewia, aby w objęciach swojej Krystyny dośnić cudnego obrazu, wyśpiewać to wszystko, co w chacie wieśniaka widział i słyszał i o czem gawędziły z nim dęby i olchy na wzgórzach ziemi ruskiej. A wracał dumny i wielki jako mocarz bogaty, bo do swego serca zagarnął

wszelkie skarby, które w borach i siołach był nadybał. Wracał dumny i wielki, bo myśl olbrzymia dojrzewała w jego duszy.

Przedsięwziął opiewać skarby ziemi ruskiej, owej krasno-licej córy wielkiej jego ojczyzny. Przedsięwziął podnieść życie ludu i mył jego, jego bajki i powieści. Chciał go ustroić w jego strój świąteczny... okazać szlachcie, co nim gardziła i rzec jej: Oto brat wasz młodszy, kochajcie go! Była to myśl wielka i olbrzymia, bo on pierwszy powziął ją w owych czasach, gdzie wszyscy poeci pożyczali do swoich pieśni treści u obcych narodów. Myśl ta unieśmiertelniła go. Klonowicz chciał dowieść świata, że na swojskim zagonie, w zaciszy chat wieśniaczych rośnie kwiat prawdziwej poezyi, że z tamąd powinni czerpać natchnienie piewcy narodowi.... A działo się to przed trzema wiekami!

Z radością twarzą ujrzał Sebastyan dworek modrzewiowy. Serce biło mu głośno, bo drogiej małżonce tyle ma do opowiadania!

W ganku powitała go Krystyna. Miała na sobie szaty żałobne. Sebastyan stanął w osłupieniu.

— Nie trwóż się! zawołała małżonka, ludzkie nieszczęście, cóż robić. Rodzic umarł w Lublinie i zostawił nam dwa domy... A cóż, przyniosłeś skarby?

Sebastyan posmutniał, a wyjąwszy z kieszeni plik papierów okazał małżonce.

— Cóż! zawołała z gniewem, toż są te obiecane skarby? Wiersze i wiersze! Co mi z twoich wierszów, za nie mieć nie będę ni jedwabiu ni koralu....

— Krystyno!

— Wołałabym była pójść za Szyпка. Jego żona jest rajczynią, siedzi w ławkach przed wielkim ołtarzem, a ja w samotnym tym dworku nudzę się i trawię młode lata!... Czyń co chcesz, pisz tu wiersze, a jadę do Lublina, gdzie mam dwa domy...

I strzeliły dwa pociski z oczu aksamitnych; dwie łzy, łzy złości i gniewu, zawisły u rzes jedwabnych. Przeląkł się poeta tych spojrzeń, w których niegdyś niebo szczęścia widział i uczył, że z młodej, różowej gałązki, która jego skroń wieńczyła, wystrzelił pierwszy, ostry cierni, i głęboko wpił się w serce!...

V.

Komuż tedy odkazujesz odumarte sprzęty,
Lutnię i treść niebotyczną, o poeto święty?...
Chcieliśmy twe gęśli oddać pasterskiemu Bogu,
Na pustyniach arkadyjskich przy kolącym głogu;
Nie chciał przyjąć upominku, bo nie ufał sobie.
Żeby więc brakiem nie stanął, i wtórym po tobie!...

S. KLONOWICZ.

Roku 1584 odbywał się w Lublinie sławny trybunał koronny. Szlachta chodziła tłumem po ulicach, a gwarząc o wielkim dniu jutrzejszym przypatrywała się odwiecznym gmachom miasta.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Po czystym niebie toczyło się słońce, przeglądając się w ciemnych falach Bystrzycy i w złoczonych krzyżach świątyń pańskich.

Trybunał jutrzejszy był wielkiej wagi. Zborowscy mieli przed króla wnieść žalobę na hetmana Zamojskiego, który Samuela w Krakowie ściąć kazał. Uczynek ten hetmana narobił w całym kraju wiele hałasu. Rodzina Zborowskich należała do pierwszych rodzin polskich, a rodzeni nieboszczyka bracia, Jan i Andrzej, pierwszy kasztelan gnieźnieński, a drugi marszałek nadworny koronny, wielu mieli szlachty za sobą gotowej zbrojno stanąć w obronie drogiej wolności Rzeczypospolitej.

Ale na tronie polskim siedział w on czas Stefan Batory. Był to król wielkiej duszy, a objąwszy rządy Polski, poznał zaraz, gdzie jest największa Rzeczypospolitej choroba. Tak zwana „złota wolność“ szlachty i panów była nieraz powodem najszkodliwszej

dla kraju samowoli, płaszczem wyniosłej dumy i pychy, patrzącej nie dobra publicznego, ale własnej prywaty. Czuł dobrze Batory, że to kiedyś kraj o zgubę przyprawi i przedsięwziął temu złemu zapobiedz.

Wielki to był trud i niewdzięczna praca. Mimo licznych zwycięstw na nieprzyjaciółach odniesionych, okrzyczała go szlachta tyranem swobód narodowych, ale żelazna dłoń króla trzymała w szrankach niesforną zgraję malkontentów, którzy za mowy, miewane w obronie wolności Rzeczypospolitej, pobierali od jej nieprzyjaciół znaczne jurgielty. Pojął to dobrze Batory i oglądał się po kraju, komuby mógł się zwierzyć w najskrytszych swoich zamiarach. I znalazł powiernika. Mąż wielkiej nauki i prawego serca stanął przy stopniach tronu, i wziął z rąk jego pieczęć i buławę. Był to Jan Zamojski. — Cztery lata później 26 maja 1584 przed furtą zamku krakowskiego spadła głowa Samuela Zborowskiego, zuchwałego banity urągającego ustawom Rzeczypospolitej. Nie uspokoiło to bynajmniej zuchwałych. Wielu przyjaciół otoczyło trumnę nieboszczyka. „Między innemi, nie wiedzieć kto (pisze naoczny społeczny świadek) w czarnym żupanie aksamitnym do trumny przyszedł i umaczał we krwi chustkę i wielkim głosem rzekł: Jeżeli kto z powiniennych jego nie będzie się mścił, ja przysięgam na Boga żywego, że się tej krwi mścić będę, a ta chwila będzie mi świadkiem zawsze żywym!

I długo powiewała w nieszczęsnym kraju skrwawiona chusta nieznanego!

Nazajutrz rano ulicą grodzką od zamku królewskiego wyruszył bogaty orszak do fary dla wysłuchania mszy świętej. Król klęczał na karmazynowej poduszce złotem haftowanej, a korząc namaszczone głowę przed panem w cierniowej koronie, marzył o dzielnym Leszku, który po odniesionem zwycięstwie nad Jadźwingami ten kościół na cześć św. Michała zbudował. Wodząc okiem po wielkiem, gotyckiem sklepieniu pytał siebie w duchu, iżali i on po tylu odniesionych zwycięstwach uczynił Bogu jakie wotum i zdawało mu się, że tuż obok siebie słyszy głos: „Ty zbudujesz najmiłszą Bogu świątynię, bo zbudujesz wielką, chrześcijańską Polskę.“ I obejrzał się w koło król Stefan,

a obok niego klęczał Jan Zamojski. I pomyślał sobie król: toż jeden filar tej świątyni już przy mnie.

Tymczasem w rynku miasta był wielki zgiełk i wrzawa. Masa ludu i szlachty otoczyła ratusz, wielki dwupiętrowy gmach w pośrodku rynku stojący, gdzie w pysznej, herbami województw i kapituł przyozdobionej sali na pierwszym piętrze miał odbyć król naradę z panami w sprawie Zborowskich. Gmin podziwiał okazały kamienny budynek i przypatrywał się kolosalnym figurom, umieszczonym na facyacie, a przedstawiającym władzę i sprawiedliwość. Część szlachty zeszła do piwnic ratuszowych i kosztowała piwa z Gdańska i Kazimierza, które tu za wyłącznym przywilejem Zygmunta Augusta szynkowano.

Otóż tutaj toczyły się najważniejsze sprawy dnia dzisiejszego. Adherenci Zborowskich łowili tutaj stronników, stawiając dzbany piwa i miodu. Poczciwa szlachta wykrzykiwała na króla i rwała się do korda, krzycząc wiwat Krzysztofowi Zborowskiemu, przyszłemu obrońcy swobód republikańskich, a tymczasowie jurgielnikowi cesarza. Biedny kraj, gdy sąsiad jego bohaterów opłaca!

— Oko za oko! ząb za ząb! zawołał barczysty szlachcic w cynamonowym żupanie.

— Głowa kanclerza! albo.. ozwał się ktoś z kąta i nie dokończył, bo grobowe milczenie obecnych zatrwożyło go.

— Na sejm wniesiemy trumnę ze zwłokami Samuela do izby senatorskiej — ozwał się Stadnicki, sławny rębacz, i postawimy osieroczone jego dzieci. Krzysztof kazał już całą tę smutną scenę wymalować i wykonterfektować..

— Strach, co to będzie!

— Dzień sądu... dies illa, dies irae...

— Zdaje mi się, rzekł jakiś nieznajomy szlachcic w czarnym żupanie, że długo rzeczy przeciągać nie trzeba. Kto ma słuszość za sobą, ten ma jus gladii — prawo miecza!

Mówiąc to obnażył wielki, szeroki miecz, a drugą ręką machnął po powietrzu białą, skrwawioną chustą. Wszyscy umilkli i wpatrzyli się w szlachcica, którego nikt z obecnych nie znał.

— Gdy pójdzie król z fary na ratusz... mówił dalej nieznajomy.

Jeszcze ciszej zrobiło się w piwnicy. Szlachta spojrzała po sobie. Wszystkich serca ogarnęło smutne przecucie. W tem z pobocznej piwnicy dał się słyszeć głos bandurzysty. Miło uderzyły te dźwięki o uszy biesiadników. Bandurzysta śpiewał:

Chcemy sobie być radzi,

Rozkaż panie czeladzi,

Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,

A przytem w złote gęśli albo w lutnię grają!...

Nieznajomy wzniósł skrwawioną chustkę do góry i oglądnął się na bandurzystę. A tenże śpiewał dalej:

Kto tak mądry, że zgadnie.

Co nań jutro przypadnie;

Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,

Kiedy się człowiek troszczy więcej niżli trzeba!...*)

Nieznajomy w czarnym aksamitnym żupanie spuścił chustkę ku ziemi i właśnie chciał coś powiedzieć, gdy na kurytarzu zawołano: Król idzie! Wszystka szlachta wysypała się z piwnicy i wystąpili na przywitanie króla; tylko nieznajomy w czarnym żupanie i bandurzysta znikli gdzieś bez wieści.

W wielkiej, pierwszopiętrowej sali na tronie z czerwonego aksamitu zasiadł król Stefan. Była to niska, niepokazna figura, z żółtem, wywiedłem obliczem, ale oczy błyszczały jasno i biegały szybko po zgromadzonych. Nie miał on na sobie żadnych ozdób królewskich. Brunatna bekiesz i niska czapka z czaplem piórem, oto cały strój jego. Koło niego usiadł kanclerz Zamojski, a z drugiej strony Prymas Karnkowski. Za nimi usiedli inni dygnitarze rzeczypośpolitej i kościoła, a w wielkiem półkole stanęła szlachta w rozlicznych strojach, to polskich, to hiszpańskich, to szwedzkich z niemiecką kryśą. Młodzież ubrała się z węgierska, bo ubiór węgierski był za Stefana w modzie.

I wytoczono różne sprawy przed króla. Najprzód wystąpił Marszałek Zborowski, a wyraziwszy swoją submisję przed majestatem króla rozpoczął oskarżenie kanclerza o morderstwo Samuela. Mówił o frasunku całej familii i kalumnii, która ztąd na cały dom spadła, że nieboszczyka jako wolno urodzonego ścięto ręką katowską w oczach publiki bez sądu sejmowego, na mocy praw starościńskich. Mówił, że krew Samuela stanie

*) Jan Kochanowski.

przed obliczem żywego Boga i wołać będzie pomsty na naród, który tej zbrodni nie ukarał, i jeszcze zbrodniarza wyniósł do wielkich godności, jako dziewierza królewskiego.

Tu powstał wielki krzyk i hałas. Stronnicy Zborowskich poczęli się kupić, zabrzęczały kordy i już byłyby się w obec królewskiego majestatu krew rozlała, gdyby nowy gość nie zwrócił był w tej chwili wszystkich oczu na siebie.

Był to szlachcic w podeszłym wieku z włoską kryzą na czarnym żupanie. Wysokie, bruzdami poorane czoło i smętne, ujmujące oblicze znamionowały człowieka, co wiele myślał i czuł w życiu. Resztki siwych włosów spadały w dużych skrętach na ramiona, niegdyś pieszczone ręką ukochanej Urszuli, dzisiaj zbiegały jak śnieg pod ciężarem lat i smutku.

— Kochanowski! Jan z Czarnolesia! krzyknęła szlachta, i z uszanowaniem rozstała się w półkole.

Ukochany od narodu wieszcz zjawiał się w samą porę. Anioł słodkiej harmonii i miłości wniósł z sobą pokój i zgodę między bracie powaśnioną. Ustała zwada, pochowano karebele, a szanując obecność poety, nikt nie powążył się ani jednym słowem zamieszać świętej ciszy, która dla sędziwego wieszca największą była nagrodą.

Król Stefan, pozdrawiając poetę, uchylił czapki z czaplem piórem. Zamojski uściśnął mu rękę, a gdy Kochanowski królowi należyty pokłon oddał, rzekł tenże do niego:

— Mówią mi, że ktoś tam dybie na moje życie, że sprzy sięgają się na mnie. Lecz ja prócz Boga nikogo się nie boję, tylko waszmość jeden, panie Wojski, jesteś mi niebezpieczny. Wdzięczne twoje rymy ujęły cały naród, a ja sam nie wiem, kto z nas obu jest dzisiaj pierwszy w narodzie.

— Miłość za miłość, ozwał się prymas Karnkowski, bo któż tak kraj swój kocha jak nasz Jan?

Batory zmarszczył czoło i rzekł:

— Zapewne! chory nie kocha felczera, co mu wrzody wypieka.

Rzekłszy to uśmiechnął się do kanclerza, bo on tylko zrozumiał swego monarchę.

Tymczasem szlachta cisnęła się do Kochanowskiego, aby z bliska obaczyć tego wieszca, który naród tak kocha, który

sam o sobie powiedział, że tylko dwa razy w życiu zniżył się od tej szczytnej miłości do uczuć więcej poziomych: raz gdy swoją Dorotę pokochał, a drugi raz gdy płakał nad zgonem swojej Urszulki. Wszyscy chcieli się przypatrzeć temu szczególnemu człowiekowi, który kasztelanii przyjąć nie chciał, aby kasztelan nie zmarnował tego, co sobie Jan z Czarnolesia uskarbił i wybrał sobie tylko urząd Wojskiego, opiekuna wdów i sierot.

Cisza była w całym zgromadzeniu. Wreszcie rozwiązał się język poety. Rozczulony do żywego takim przejęciem ze strony króla i szlachty, wzniosł oczy ku niebu a dwie łzy stoczyły się po jego bladej twarzy.

— Bóg mi świadkiem, rzekł, iżbym wolał przyjść tutaj z lutnią moją i wdzięcznie zaśpiewać W. kr. Mości i braci mojej, ale zboleła pierś moja nie wyda dzisiaj pieśni, tylko skargę i głos o zemstę!

A otarłszy łzy mówił dalej, że przed królem i całym narodem składa żalność swoją przeto, iż brat żony jego, Podwodowski, koniuszy królewski, zabity jest od bisurmanów wbrew prawa narodów, które mówi, że osoba posła jest sacrosancta. A wzniosłszy ręce do Boga żywego, zaklinał króla i naród cały, aby tę krew polską zmył w bramach Stambułu, a na minaretach jego zatknął krzyż zbawienia!...

Głos i ręce wieszczki poczęły drżeć, twarz jego poczerwiała, oczy krwią nabiegły. Przyłożył rękę do czoła i zachwiał się. Tkliwe serce poety silniej czuło zgrozę barbarzyństwa, niżeli słowa mógł ją oddać — pękło.

— Lekarza! krzyknęli wszyscy.

— Wody! wołano zewsząd.

Z korytarza przebił się przez tłumy szlachty młody mieszczanin lubelski w ciemny falendysz ubrany. Pochwycił Kochanowskiego w ramiona i wyniósł do pobliskiej komnaty.

Król i dygnitarze powstali z miejsc, wielki rozruch zrobił się na sali. O sprawie Zborowskich wszyscy zapomnieli.

Próżne były usiłowania najbieglejszych lekarzy. Apopleksya tknięty wieszcz dogorywał na łożu. Król zawiesił narady, chodząc po sali tam i nazad, wypytywał się co chwila o zdrowie Kochanowskiego.

W pobocznej komnacie, otoczony lekarzami i przyjaciółmi, leżał ojciec Urszulki. Koło łóżka klęczał mieszczanin lubelski w ciemnym falendyszu i trzymając ręce wieszczą, zlewał je łzami.

— Komu przekażesz lutnię twoją, bracie Janie? zapytał stojący koło łóżka kanclerz.

— Wiernemu słudze twego domu, rzekł słabym głosem poeta i wskazał na klęczącego mieszczanina.

— Acernie! mówił kanclerz do mieszczanina, masz w spadku lutnię, której struny dla narodu grały.

— Uboga muza moja, mości hetmanie, szlochał Klonowicz, gdzież mnie do tak słodkich rymów! Jam przestał kochać, mogę tylko chłostać i szydzić.

— I to mówi ten, co z taką miłością opiewał rodowitą ziemię? zawołał kanclerz.

— Miłość i miłość zaszczeplaj wszędzie, mówił umierający poeta, bo choć dziesięć ziarn padnie na cierni i opokę, to przecież jedenaste wyda plon obfity.... Kochaj wszystkich ludzi i każ im kochać.... a nadewszystko kochaj kraj.... W tej miłości bądź ślepym jak matka ślepą jest w miłości swego dziecka, bo chłosta nie nada miłości.

— Kochać? zawołał Klonowicz, kochać to, co nie warte kochania, co się psuje i gnije jak woda stojąca.... O jam kochał niegdyś to wszystko, com w koło siebie widział, ziemię i ludzi... kochałem dzieje, tę przeszłość bohaterską, a dzisiaj widzę jak w Rzeczypospolitej swawola i występki górę biorą, dzisiaj niema apostołów dawnej wiary naszej, tylko Judasze z workami cudzych łez, ci co urząd dzierżą, sprzedają sprawiedliwość za halerz, a króla oszukują, że w kraju dobrze się dzieje. Klejnot szlachecki obroni każdego zbrodniarza, a nikt nie wierzy, że prawdziwe szlactwo jest cnota i praca... Mamże ja to wszystko kochać, czem się brzydzę i pogardzam?... Mam wdzięcznie moją lutnię nastroić, i słodkie pienia nucić, gdy mnie niesforność zagłusza?... O wieszczu Czarnoleski! weź twoją lutnię, jam jej nie godzien, weź ją do grobu, bo na niej niema komu przygrywać!... Mamci ja lutnię własną, lutnię o żelaznych, ostrych strunach, w nie to ja uderzę, choć palce zakrwawię....

I wyprostował się mieszczanin lubelski, i dumnym okiem powiódł po komnacie. W pięknej jego twarzy zmieniło się dotąd wiele. Bystre sokole oko zapadło w głąb czoła, zleciała z niego chmurka marzenia i zadumy, a natomiast zapalił się złowieszczy blask szyderstwa i satyry. Nie był to już ów piękny, marzący poeta, ale człowiek dojrzały sercem i głową, który otwartym okiem zajrzał na dno życia, przedarł tkanę ułudy, a przecież nie wyziębił serca, nie zniżył lotów ducha. Śmiało puszczał się szlakiem życia, choć wiedział, że kiedyś mu przyjdzie pierś roztrząsać....

Wszyscy patrzali na piękną, dumną postać mieszczanina. Widząc że się kanclerz zamyślił, uśmiechnął się Sebastyan, mówiąc:

— Niech słowa moje, acz szorstkie, nie dziwią waszej mości. Memu amorowi odjęto już dawno przepaskę z oczu, ja dziś wszystko widzę. Będę więc śpiewał, co widzę i słyszę, śpiewał prawdę, choć ona nie jednego w oczy kole. Miłość może natchnąć poetę ale i oburzenie także. Si natura negat, facit indignatio versum.

— Prawdę śpiewać? ozwał się kanclerz, trzeba śmiałego śpiewaka. Świat nie lubi prawdy, a śpiewak także...

— Zyszcze na grobie wieńce. Dopiero nad jego popiołami zabrzmią pochwały:

*Forsitan ad Manes dulcedo posthuma laudis,
Perveniet nostras, et seri sensus honoris.*

W tem zawołano przy progu: Król! król! Stefan zbliżył się do łóżka. Kanclerz wskazał na Klonowicza, jako spadkobiercę lutni Kochanowskiego. Król w milczeniu podał rękę mieszczaninowi. W tej chwili westchnął Kochanowski ostatniem na ziemi westchnieniem. Uśmiech zagrobowej słodyczy, gdzieś nań czekano z palmą i białą odzieżą, zajaśniał na twarzy poety. On nie umierał ostatnim bardem ziemi swojej! Jeszcze raz się uśmiechnął, podniósł rękę, snąć chciał na swego spadkobiercę wlać ducha miłości... ale już dłoń skościła! Chwila — a wieszcz z Czarnolesia już nie żył!...

Wieczór był piękny, sierpniowy. Z błękitnej szyby nieba wyglądał pełny księżyc i oświecił jasno ulice Lublina. Cudownie

w tem oświeceniu wydawał się kościół, świeżo przy królewskiej ulicy wystawiony. Sześć olbrzymich kolumn doryckiego porządku podpierało wspaniałą galeryę, a nad nią majestatycznie wznosiły się dwie wieże w niebiosy. Złote krzyże błyszczały w świetle księżyca, a ich cień padał daleko na ulicę królewską.

W zaciszu tego nowego kościoła stało dwóch ludzi.

— Chceszli prawdę mówić i masz do tego odwagę, ozwał się jeden, to się obejrzyj.

Mężczyzna w ciemnym falendyszu obejrzał się, a widząc dwie olbrzymie, sterczące za sobą wieże, wstrząsł się mimowoli jakby widmo jakie był obaczył. I przeżegnał się.

— Żegnasz się? mówił pierwszy, i oni się żegnają a przecież zład wyjdzie wielka klęska na kraj cały!

To klasztor Jezuitów.

— Tak jest, bogaty z przepychem wystawiony klasztor.

— A król?

— Król im sprzyja. . Ojciec Posewin wiele nam w Moskwie dobrego świadczy.

— A kanclerz Jego?

Zapytany ruszył ramionami.

— Ten mąż bystrej głowy...

— Buduje Zamość — otacza murem i fosą, a wiesz dla czego?

— Przeciw Turkowi.

— Gdzie tam! odpowiedział pierwszy — ot! i wskazał na mury klasztoru.

— Jakto?

— Kanclerz! rzekł z uśmiechem żartobliwym zapytany, założy w Zamościu akademię, aby kraj miał czyste, niezmaćcone źródło oświaty.

— Aby tamę położyć temu złemu, co nas dzisiaj przygniata.

— Tak! tak... tylko —

Tu położył palec mówiący na usta. Snać go zrozumiał jego towarzysz, bo się w koło obejrzał.

Mąż w bogatej delii podał rękę swemu towarzyszowi i rzekł:

— Vale Acerne!

Towarzysz jego z uszanowaniem przyjął to serdeczne pożegnanie, mówiąc:

— Vale decus patriae!

I uściśnęło się dwóch największych ludzi swego czasu.

Z głową spuszczoną szedł Kłonowicz do domu. W całym mieście było głucho i smutno. Śmierć Kochanowskiego wszystkich zasmuciła. Nigdzie nie było słyhać ni śpiewów ni łańców.

Wreszcie stanął przed forta swego domu. Z okien biło jasne światło na ulicę, a wewnątrz słyhać było śmiech, żarty i muzykę. Poeta spojrział przez okno i widział jak Krystyna wśród pijanej młodzieży stała w lekkiej szacie, a żartując z pijakami, śmiała się głośno.

Poeta zasłonił uszy, aby nie słyszeć słów pługawych i cicho otworzył drzwi do swojej izdebki. Otarłszy łzy z oczu wziął pióro, aby napisać żale na śmierć Kochanowskiego.

Śród tej pracy nie jedna łza upadła na papier. Z dalszych komnat zalatywał śmiech rozpusty, a przed oczami jak dwa ciemne grobowce stały mu wieże nowego klasztoru.

Ulicą grodzką śród nocnej zaciśzy dążył w tej chwili do zamku królewskiego mężczyzna nieokażnej postaci, w szerokiej delii. Był to Jan Zamojski.

VI.

Szczerze się z ludźmi obchodzi, waż prawdziwym funtem,
Prawda sprawiedliwości jest i cnoty gruntem,
Prawdę świętą wyświeclaj: kto prawdę zacierą
I gmatwa rzeczy ludzkie: Boga się zapiera!

S. KLONOWICZ.

Wiele lat minęło od owego zdarzenia. Imię Acerna rozeszło się po całym kraju. Ale na niebie Polski gromadziły się chmury coraz grubsze, coraz ciemniejsze. Batorego już nie stało, a na tronie siedział Zygmunt Waza, król słabej duszy i słabego serca. Obyczaje poczęły upadać, nie zawsze była górą cnota i prawdziwa zasługa.

Klonowicz patrzył na to wszystko, bolał w duszy, a zamknawszy się w swojej izdebce, wylewał na papier krew swego serca, zaprawioną żółcią, wytykając narodowi błędy, które zdrowe jego ciało toczyć poczynąły. A co napisał, to starannie przed światem ukrywał, bo czuł w gorącej piersi swojej, że jeszcze wszystkiego nie wyśpiewał.

Złamany nieszczęśliwym pożyciem domowym, rozczarowany już w pierwszych, ognistych marzeniach, niezrozumiany od tej, którą wybrał za towarzyszkę życia, odwrócił biedny poeta twarz od tego, co w jego ojczyźnie pięknem było i patrzył tylko na zbrodnie i zdrożności. Chłostał wszystko satyrą, obryzgiwał żółcią, ale czynił to z wielkiej miłości, jaką miał ku ziemi ojczystej, bo on chciał, aby ta wysniona kochanka jego była bez skaz i plamy. Ale ludzie krótko widzący nie pojęli go!

Mimo to znali i czcili go wszyscy jako człowieka nieposzlakowanej sławy i wysokich zdolności. Nie wiele czasu upłynęło, a Klonowicz zasiadł na ławie rajców. Wypełniając obowiązki nowego urzędu, nie spuścił z oka wielkich celów swoich, dla których żył całą duszą i całym sercem.

Jednak powodzenie to u świata nie ukoili żadnej duszy poety. Jeszcze raz zerwał się bard narodowy do wyższych lotów, zapragnął strojnej lutni, aby wielką pieśń ziomkom wyśpiewać, pieśń słodką i wdzięczną. Ale na ławie radzieckiej trudno było o treść do takiej pieśni, tam mógł tylko napełnić swój „Worek Judaszów“. *)

Więc jak ongi, w dniach snów i marzeń złocistych, chciał i dzisiaj poeta zniżyć się do ludu, wejść w jego życie i tam szukać natchnienia do pieśni, nawiązać struny rozstrojonej lutni....

Klonowicz kupił sztukę i poczał sypać na nią zboże. Mieszczanie tręcali jeden drugiego mówiąc: Otoż próbuje Sebastian handelku, pojedzie do Gdańska, a ztamtąd przywiezie hałas, tabint, cynamon i drogi bursztyn. Założy sklep i będzie panem całą gębą. Sebastyanowa nie popatrzy się na nas, bo będzie chodziła w srebrze i złocie.

Tak mówili między sobą mieszczanie, zazdroszcząc Sebastianowi handlu, a jego żonie szat bogatych. Liczyli naprzód jego zyski i kłócili się między sobą, na której ulicy Sebastian, gdy wróci, nowy dom budować będzie. A mieszczanki układały w duchu, co to za piękne towary ich sąsiad z Gdańska przywiezie.

A Klonowicz stał na brzegu Bystrzycy, rozmarzonym okiem patrzył na modre jej fale i tęsknił za tą chwilą, kiedy te fale w dalekie uniosą go strony. W jego pamięci odżyły opowiadania starego Bartosza, flisa z Sulmierzyc, opowiadania zasłyszane w pierwszym poranku młodości, kiedy to wszystko takie ładne, takie złote! A stary Bartosz opowiadał mu wiele o kwiecistych brzegach Wisły, o tęsknocie flisów na wodzie i o ich radości, gdy wracają do miłej Polski z nową magierką na głowie i w nowej karazyi i tak się postawia:

*) Tytuł satyrycznego dzieła Klonowicza.

...Ojcu i macierzy starej
Wesoło, szatno i szumno bez miary...

Wszystko to chciał widzieć poeta na własne oczy, chciał odżyć między ludem, którego umiał w najskrytszem jego marzeniu podслуchać i jego piękności schwycić. A kochał on go w owym czasie, gdy wszyscy poeci od niego twarz odwrócili...

Wreszcie odbiła szkuta od brzegu, wieże Lublina zniknęły w swej pomroce, a za kilka dni rozkosznej żeglugi zawołał poeta pełną piersią, że

...Miła Polska na żyznym zagonie
Usiadła, jak u Boga na łonie!...

Brzegi, góry, miasta mknęły przed okiem poety, który zachwycał się skarbami swego kraju. I jak niegdyś ruską ziemię wzdłuż przechodził i jej oblicze malował, tak płynął dzisiaj ku północy, zapisując każde wrażenie, każdy ostrów, każde słowo, które z ust flisów do niego doleciało.

Mieszczanie oczekiwali drogich towarów, żona marzyła o bogatych szatach, a poeta zbierał skarby dla narodu!...

Wreszcie rozbiegła się wieść po Lublinie: Klonowicz wraca! Krystyna stanęła w oknie, jej serce biło, twarz płonęła. Marzyła o bogatym gościńcu. Ale zamiast bławatów i bisioru przywiózł Klonowicz plik papierów — przywiózł Flisa. *)

Nastąpiła burza domowa. Krystyna płakała z rozpacz i wyrzekała znowu, że nie poszła za Szyпка, który żonę swoją stroi w tabint i jadamaszek! A jadamaszek byłby jej tak do twarzy! Jej aksamitne oczy takby pięknie odbijały od tabintu!...

Ale nie długo płynęły łzy pięknej Krystyny. Nazajutrz bowiem przyszli mieszczanie do jej domu i oświadczyli Sebastianowi, że go miasto wybiera na burmistrza, jako najgodniejszego tego zaszczytnego urzędu.

Szczęście i spokój zawita w dom poety. — Krystyna będzie chodziła w jedwabiu, w kościele usiedzie pierwsza w ławce przed wielkim ołtarzem, a starsza panna poda jej świecę z białego wosku!...

I w samej rzeczy nastąpiła cisza w domu Klonowicza. Żona jego stroiła się, sprawiała uczty i zabawy. O mężu wtedy

*) Tytuł poematu Klonowicza.

tylko sobie wspomniała, gdy jej potrzeba było pieniędzy na życie rozpustnicze. Szczęście i dostatek był na pozór w domu burmistrza lubelskiego. Sąsiedzi zazdrościli mu tego szczęścia, czekali chwili, kiedy Klonowicz nowy dom z kamienia stawiać będzie, jak to wszyscy dotąd czynili burmistrzowie. Bo urząd taki jest wielce intratny, można i koszulę zedrzeć, bo któż oprze się burmistrzowi?

Tak między sobą mówili mieszczenie lubelscy, a biedny poeta, zamknięty w małej izdebce, dokąd go obelżywe słowa żony dosięgnąć nie mogły, przeplakał i przemarzył noc, patrząc na wady swego społeczeństwa. Urząd jego dał mu sposobność jeszcze głębiej w serca ludzkie zaglądnąć. Na trybunałach koronnych przypatrzył się zepsuciu szlachty ówczesnej, która dumna z swoich przywilejów, pogardzała niższemi, nie widziała ludu, a ojczyznę pojmowała jako wielki skarbiec prerogatyw szlacheckich. Tej ojczyzny broniła, za nią krew i życie dawała, ale wyżej się wznieść nie mogła. Wielkie serce poety oburzyło się na tyle zdrożności, wylało żółć z siebie, która miała wygrzyźć i wypalić te choroby jego wieku, bo on chciał Polski miłej, co na żyznym zagonie, usiadła jak u Boga na łonie. A tę Polskę kochał mieszczanin!

Znowu upłynęło kilka lat cichej, krwawej pracy. Co Klonowicz pisał, nad czem po całych nocach pracował, o tem nikt w mieście nie wiedział. Tylko kapłan z nowego klasztoru, idąc o północy z świętym wijatykiem do chorego, ujrzał blade światło w narożnym domu przy ulicy zamkowej, a gdy koło okna przechodził, widział siedzącego nad książkami mieszczanina, który może właśnie w tej chwili skarżył się Bogu, że mu

....Niebo gwałt czyni, językiem włada

I piórem mojem, zkaż mnie myśl napada:

Pisać te rzeczy, które noc pokrywa!....

Oj lepiej by było poeto, odeprzeć ten „gwałt nieba“ i nie pisać rzeczy, które noc pokrywa!...

.....

Na pełnym zegarze była właśnie ośmnasta godzina. Klonowicz siedział w swojej izdebce, a dobywszy ze skrzyni spory plik papierów, położył je przed sobą. Z ojcowską radością

przypatrywał się tym niemyym świadkom swoich boleści i rozkoszy, serce jego biło głośno, lica się rumieniły. Przewracał karty, odczytywał, uśmiechał się i łzy ocierał, wreszcie wstał i począł się po izdebce przechadzać. Śron przedwczesny oblókł mu włosy, piękna, wyniosła jego postać nagięła się ku ziemi, silne, ogniste uczucia poradliły jego czoło. Usta otoczył rys smutku i zadumy, oko przygasało, pierś zapadła.

Długi czas chodził po izdebce. Wreszcie stanął przy oknie i spojrzał na ulicę, śnać kogoś oczekiwał. Ale na ulicy było ciemno i głucho, niebo szare, omglone, tylko z ulicy królewskiej sterczały ponad domy dwie czarne wieże nowego klasztoru, jak dwa ogromne pomaiki grobowe. Klonowicz uczuł dreszcz w całym ciele i przypomniał sobie, że przed kilkunasty laty taki sam strach na widok tych wież go ogarnął. Jak wtedy, tak i teraz przeżegnał się, oddając się w opiekę Maryi, patronki korony polskiej....

W tem otworzyły się drzwi izdebki. Klonowicz pobiegł, aby upragnionego gościa przywitać, ale ujrzawszy go, zatrzymał się. Był to jakiś nieznajomy, w długiej ciemnej szacie bladej, wyschłej twarzy.

— Laudetur! zawołał nieznajomy, widząc zadziwienie burmistrza.

Klonowicz przystawił mu stółek i zapytał go o powód tak późnych odwiedzin.

Nieznajomy opowiedział mu długą historję o jakichś sierotach, których jest opiekunem, prosząc dla nich łaski burmistrza. W końcu wspomniał nawiasem o dziełach jego, których był gorliwym zwolennikiem, a mianowicie wychwalał małą broszurkę, szlachcica polskiego, napisaną przeciw Zakonowi stowarzyszenia Jezusowego. Klonowicz spojrzał ostro w oczy nieznajomemu, ale tam ujrzał największą szczerłość i otwartość. Przyznał się więc do swego dzieła i dziwnie, właśnie w tej chwili stały mu przed oczami dwie, czarne wieże nowego klasztoru.

Nieznajomy spojrzał na stół, a wskazując na papiery, rzekł:

— Zapewne nowa muza. .

— A tak... pisałem, gwoli zabawy...

Nieznajomy uśmiechnął się z ironją, mówiąc:

— Piękna mi to zabawa, przez co człowiek mienie i duszę utracić może!

Klonowicz wypatrzył się na mówiącego. Złe przeczucie ogarnęło jego duszę.

— Jakto? zapytał.

— Victoria Deorum i Worek Judaszów!

Ośłupiał biedny poeta. Były to tytuły satyrycznych dzieł jego, które właśnie do Krakowa miał posłać. Zkąd mógł nieznajomy o nich wiedzieć?

— Acerne, zawołał uroczystym głosem nieznajomy, wielki nasz wieszczu! Pocóż ci mówić o rzeczach, które noc pokrywa?

— Mówię prawdę!

— Chrystus przyszedł, aby dać świadectwo prawdzie, a gdy się Piłat zapytał: Cóż jest prawda? czemu nikt nie odpowiedział?... Chcesz poprawić ludzi wyżej od ciebie położonych, rzucasz im w oczy pełną garścią tej prawdy twojej... sądzisz, że ci ujdzie na sucho?... Wysztydasz herby szlacheckie, chcesz, aby jedyuym herbem była cnota i zasługa... Ty drobny prochu!... ty nikczemny robaczku! ty chcesz świat poprawić?... On cię przywali swoim ogromem, a ty ani jękniesz! Świat pójdzie, jak szedł bez twojej prawdy, a ty zginiesz, nędznie zginiesz! Mówisz o zakonach... o nędzny śmiertelny człowiecze! harda duszo! tobie w prochu leżeć i oczy zakryć!... Rzucasz błotem i plwasz, a może.. może z kijem żebraczym przyjdiesz do ich forty zakonnej?...

Klonowicz siedział naprzeciw nieznajomego i płonącym okiem wpatrywał się w jego twarz.

— Jeszcze czas — mówił dalej nieznajomy i sięgnął jedną ręką po rękopis, a drugą wskazał na płonący ogień w kominku.

— Iżali ty nie w lwiej skórze *) przyszedłeś do mnie, człowiecze, zawołał Klonowicz, odpychając ręką nieznajomego. Apage Satanasi!

Gwałtowny giest, który w tej chwili Klonowicz uczynił,

*) O Worku Judaszów mówi Klonowicz, że był zszyty z różnych skór zwierzęcych. Jest to u niego alegorya różnych zbrodni. O worku z lwiej skóry bał się pisać poeta.

przestraszył nieznajomego. Położywszy rękę na piersi, westchnął i wyszedł.

Długo stał Klonowicz przy oknie, serce biło mu w piersiach gwałtownie, słowa nieznajomego odsłoniły mu ciernie i głogi, przez które miał iść aż do grobu!... A ciemna, czarna postać sunęła się zwolna ulicą zamkową, jak czarny, złowieszczy cień upióra...

Odezwał się dzwonek na wieży nowego klasztoru, w infirmacyi jezuickiej ktoś konał. Klonowicz ukląkł, wznosił ręce do nieba, a z gorącej piersi poety wypłynęła wrząca modlitwa do Boga.

Teraz dopiero nadszedł jego gość oczekiwany. Był to krewny jego, Sebastyan Kajek, który jadąc do Krakowa, miał właśnie jego rękopisma wziąć dla drukarza Sternackiego.

Klonowicz obwinał je, przeżegnał i włożył w zanadrze przyjacielowi. W tęsknem jakimś przeczuciu rzekł do niego, aby mu kiedy napisał nagrobek *). Po jego wyjściu rzucił się na kolana, długo, długo modlił się, ocierając łzy, a gdy wstał, miał twarz pełną natchnienia i zdawało się, że jakaś jasna, światła aureola otoczyła skronie poety-męczennika!

*) W samej rzeczy Kajek napisał mu nagrobek. Znajduje się u fary w Lublinie na czarnej marmurowej tabliczce koło chóru.

VII.

Wdzięczna żeglarzom ziemia po przeciwnych
Przejazdkach morskich i po trwogach dziwnych,
Wdzięczny port bliski i pochodnia nocna,
Długo błędzącym na morzu pomocna. —
Słodki w południe podróżnikowi cień,
Gdy się upali w drodze w gorący dzień —
I kiedy zimną krynicę nadbieży,
Albo się w chłodzie na trawie przeleży....

S. KLONOWICZ.

Ciężkie burze przemknęły ponad Polską. Zamojski już od trzech lat leżał w grobie, a nie było nikogo eoby śmiało głos swój podniósł. Rokosz Zebrzydowskiego poniósł ostatnią klęskę, a naród oplakiwał bratnie trupy śpiewając żałośnie: Pod Guzowem, zmieszała się krew z ołowiem...

Akademia krakowska bawiła się w uczone dysputy. Dawna, jasna pochodnia jej nauk przygasła, a zamiast światła było dymno i duszno...

Był to dzień piękny, jesienny. Z bram akademii wysypała się młodzież. Krzycząc i hałasując szła za bramę floryańską, aby tamże być obeeną niezwyklemu widowisku. Gawiedź uliczna powiększała tłumy idących i prócz kilku przewodzców, idących w pośrodku w płaszczu i birecie, nikt nie wiedział, co też to będzie.

Wreszcie zatrzymano się na małym, zielonem wzgórzu. Uzbierano kilka polan i podłożono ogień. Najstarszy wiekiem stanął w pośrodku a dobywszy jakąś księgę z pod płaszcza, wznosił ją do góry i rzekł:

— Quid proemii verbis tam dignis?

— Carnifex et ignis! *) odpowiedziało kilku.

I karty książki zajęły się płomieniem.

Powstał krzyk i hałas. Jedni krzyczeli to, drudzy owo, a gawiedź uliczna cieszyła się, że miała widowisko. Przeklinano i książkę i tego, co ją pisał, śmiano się i hałasowano, jakto zwykle w takim razie bywa. Nikt nie pytał czy słusznie, czy niesłusznie, dosyć było, aby ktoś jakie słowo powiedział, a tyśiące je powtarzały.

Z dala od tłumu stał mieszczanin i ciekawie przypatrywał się temu szczególnemu widowisku. Miał rumiane, pełne policzki, kapotę szafirową, przepasaną czerwonym pasem. Obok niego z widocznem uszanowaniem stał młodszy mężczyzna także w ubiorze mieszczańskim.

— Cóż to się znaczy Szymonie? zapytał starszy.

— Nie wiem panie wójcie, odpowiedział młodszy, ale czegoś strach mnie bierze. Zapewne książka jakiego czarno-księżnika.

I przeżegnali się obaj mieszczanie, a nabrawszy animuszu czy ciekawości, zbliżyli się do tłumu, aby się przecieź czegoś dowiedzieć. Opowiedział im ktoś, że to książka polskiego poety, co się Acernus nazywa, który w tej książce powstaje na panów i zakony. Usłyszawszy to mieszczanin pobladł, a podziękowawszy nieznajomemu, wziął Szymona za rękę i rzekł:

— Spieszmy, spieszmy Szymonie do Sulmierzyc, bo trzeba mi dać na mszę świętą.

Był to Marcin Sierotka.

Młodszy mieszczanin nie mógł odgadnąć, co wójta tak nagle zmienić mogło. Zdrów i wesół umiał zawsze coś śmiesznego powiedzieć, pożartować a nawet i zaśpiewać, a dzisiaj nie można było i słowa od niego wydobyć.

I tak minęło kilka dni podróży, a Szymon modlił się w duchu za wójta Sulmierzyc, którego nagle czart opętał i niemotę uczynił. Wzdychał tylko i głową kręcił.

Wreszcie ujrzeni lipy Sulmierzyckie. Pod lipami spoczywał jakiś biedny podróżny, a oparłszy głowę na rękę, patrzył na

*) Owcześnie zdanie Klonowicza nieprzyjaciół o dziełach jego.

krzyż kościółka Sumierzyckiego. Wójt spojrzał na podróżnego, a sądząc z jego biednej odzieży, że to żebrak, wyjął grosz i dał go mu z temi słowy:

— Módlcie się za duszę Sebastjana.

Wędrowni schylił głowę, otarł oczy, a wpatrując się w rumianą twarz wójta, zapytał:

— Czy mieliście w rodzie Sebastjana?

— Nie, ale chowałem się razem z Sebastjanem, który dziś w świat poszedł i duszę utracił.

Zajęty jeszcze tem, co widział w Krakowie, nie widział Sierotka, jak twarz wędrownego się zmieniła, jak duże dwie łzy po jego licach się stoczyły.

— A z kąd Bóg prowadzi, zapytał po chwili Sierotka.

— Z daleka — z Lublina.

— Toż może wiecie co o Klonowiczu?

— Znałem go — był burmistrzem.... Dzisiaj podupadł.

— Ach mój Boże, krzyknął Sierotka, toż chodźcie ze mną, mam dom obszerny — i w gębę będzie co włożyć. Musicie mi wiele o nim powiedzieć.

Podróżny podziękował za gościnność mieszczaninowi, obiecał przyjść do niego, skoro sobie tylko wypocznie. Daleką bowiem odbył podróż.

— Pytajcie się do wójta, rzekł odchodząc Sierotka.

Podróżny usiadł znowu pod lipami i zakrył oczy. Zapadła pierś jego podniosła się wielkiem westchnieniem, a zdrój łez puścił się mu z oczu. Był to Sebastjan Klonowicz.

I któżby go dzisiaj w jego mieście rodzinnem był poznał? Piękny, smukłej postaci młodzieniec, stał się starcem zgrzybiłym, z zamożnego mieszczanina stał się żebrakiem. Czarne, połysne kędziory zdobiły niegdyś skroni jego, dzisiaj nagą świecił czaszką, a resztki siwych, pomierzwionych włosów spadały na brudną odzież jak uschłe, mrozem zwarzone zielsko. Usta posiniały z bólu, ręce wyschły z trudu i pracy. Nawet towarzysz jego lat dziecinnych nie poznał go — serce jego nie odgadło w nim dawnego przyjaciela!...

Usiadł na murawie, do ziół wonnych przyłożył spalone skronie.... Niegdyś budziły te zioła w piersi jego cudne, rajskie

marzenia, upajały go do snów złocistych.... dzisiaj wydały mu się jak kadzidła przy trupie, a blask bani kościelnej palił się jak lampa na pogrzebie... tylko „requiem“ nikt mu nie śpiewał! Nie dla niego odpoczynek na włoce rodzinnej, bo aby tu spocząć, nie trzeba było nią gardzić, ale na niej uczciwie pracować!... Tutaj, gdzie po raz pierwszy świat boży ujrzał, przywłókł dzisiaj styrane kości, miał pukać do miłosierdzia tych, którzy mu niegdyś zazdrościli... Nie, on nie mógł tu spocząć, bo tu leżałby przy prochach ojców swoich, a on miał umrzeć sierotą! Miał kielich goryczy wysączyć aż do dna! Tutaj sprawionoby mu pogrzeb okazały ze względu na pamięć ojca jego, a on miał wstąpić do grobu nędzarzem, nie mając do trumny wezglowia, prócz kilku eierai, kilku kamieni, któremi nań rzucono!...

Takie uczucia miotaly w wyschłym sercu jego, wstał, osuszył łzę i puścił się drogą ku miastu.

W samym rynku miasteczka bielil się dom podłużny. Dwa kominy, dach z gontu i obszerne podcienie były oznaką zamożności gospodarza. Przed domem leżał na słońcu wielki pies kudłaty, snuć było co w domu stróżować. Z poza dachu wyglądały drzewa owocowe, a między nimi sterczały brogi pszenicy. Przechodzący koło tego domu mieszczanin z uszanowaniem zdejmował czapkę, bo w oknie lub na podcieniu rozpierał się zwykle wójt miasta, zacny i powszechnie kochany Marcin Sierotka. Wysiadywał po całych dniach na ławie malowanej, bo gospodarstwo zdał na synów, a w domu wiodło mu się dobrze. Wesół, rumianego oblicza dobrej tuszy, uśmiechał się do przechodzących, rozmawiał z nimi to o tem to o owem, często pożartował, a gdy tego potrzeba było, dał dobrą radę, odwołując się zawsze do swego opiekuna, starego Klonowicza, który zawsze tak samo radził.

Dzisiaj przyszedłszy z dalekiej drogi, bo chodził do Krakowa na sekretną intencją do ciała św. Stanisława męczennika, aby przy jego trumnie podziękować Bogu, że mu się tak dobrze dzieje, chociaż po wypełnieniu wotum swego miał tak czyste i spokojne sumienie, żeby mógł bez spowiedzi wziąć do ust komunię świętą, czuł jednak w duszy jakiś smutek, którego od siebie nie mógł odzégnać. Nie mógł zapomnąć tego, co w Kra-

kowie obaczył, a nawet jałmużna, dana żebrakowi przed miastem, nie mogła mu wrócić dawnej swobody. Siadł wprawdzie na podcieniu na ławie malowanej, dziesięć ładnych krówek wyszło z jego stajni i z przymileniem lizały mu ręce; ulubiony jego łoszek harcował po rynku miasta, aż serce rosło — ale pan Marcin nie widział wcale chudoby swojej, nie uśmiechnął się do nikogo, a nawet przed nikim czapki nie uchylił.

Przed oczami wójta stał biedny Sebastyan, który może w tej chwili gdzieś do cudzych rękę wyciąga! A któż to da jaki grosz takiemu człowiekowi, którego książki palą, który snąc duszę swą złemu duchowi zapisał!....

Pan Marcin wzdrygnął się i przeżegnał, a właśnie w tej chwili zbliżał się do niego podróżny, który mu miał o Sebastianie wiele rzeczy opowiadać. Podał mu rękę i prosił go, aby usiadł przy nim na ławie. Przypomniawszy sobie starego Kłownowicza, który go uczył, aby biednym nie pogardzać.

Podróżny opowiadał mu o Sebastianie, jak król mu rękę podał, jak był burmistrzem, jak pływał Wisłą do Gdańska, jak potem przyszło na niego nieszczęście i od razu zubożał. Żona go porzuciła, przyjaciele zaparli się, a w całym Lublinie niema dziś kąta dla siebie.

Zafrasował się wiele tem opowiadaniem wójt Sułmierzycki. Począł wyrzekać, że Sebastyan wzgardził włoką ojczyzną, że będąc młodym, nosił głowę do góry i zdawało mu się, że ma więcej rozumu niżli całe miasteczko. Nawet nie przyszedł ojcu powiek przymknąć, a gdy on sam do Krakowa za nim poszedł, bał mu Sebastyan rzeczy, które tylko waryatowi do głowy przyjść mogą. Cały kraj nazywał swoją ojcowizną, to też dzisiaj w tej ojcowiznie niema kąta, gdzieby mógł wytechnąć, jak robotnik po długiej pracy. Dalej mówił mieszczanin, że Sebastyan musiał być złym człowiekiem, jeżeli tak złe dzieje mu się na świecie.

— Mówili ludzie, że był pocziwym, ozwał się wędrowny.
— Pocziwy? a zaczęły jego książki palili?

Uśmiech bolesny przemknął po bladej twarzy poety, w oczach zabłysły dwie łzy. Odwrócił się, aby ich mieszczanin nie widział.

— Od tego dnia, gdy to widział, mówił dalej pan Marcin, tłucze się we mnie serce, jakbym się bał czego.

I znowu szeroko i długo opowiadał, jak to wielkim jest występkiem, jeżeli się kto na takie rzeczy odważy jak Sebastyan, bo już ciż musiał serce i duszę zapisać szatanowi, a do tego przyprowadziła go pycha, bo zdawało mu się, że jest mędrszy od innych. Dalej ubolewał nad towarzyszem swojej młodości, który zapewne teraz od czci i wiary a może nawet od świętych sakramentów jest odsądzony i wyznał szczerze, żeby się nawet lękał dać mu jakąkolwiek pomoc, albo do niego się przyznać.

Klonowicz nie mógł dłużej słuchać. Wstał i chciał wójta pożegnać, ale tenże zatrzymał go, mówiąc, że mu kazał ukroić kawał chleba na drogę.

— Weźcie ten chleb, mówił wójt, to chleb z roli Sebastyana. Kazał ją wprawdzie dać ubóstwu, ale ja myślę sobie, może kiedy powróci, a będzie potrzebował. Otóż zająłem kilka włók w moje grunta i co rok składam do skarbonki dzierżawne. Teraz, gdy biedny, dałbym mu te pieniądze, ale jakże to teraz do takiego przystąpić i przyznać się do niego?

— Bóg zapłać, rzekł wędrowny biorąc chleb do ręki i całując go. Dwie gorzkie łzy zostały na nim.

— Czemuście nie wypełnili rozkazu jego, rzekł po chwili do wójta, bo to z czasem ta wasza skarbonka może się stać workiem Judaszowym i piec was jak owe srebrniki...

— Uchowaj Boże! krzyknął mieszczanin i pobladł, bo w tej chwili przyszło mu do głowy, czy też biednego Sebastyana nie skrzywdził używając przez lat czterdzieści z jego gruntu. „Worek Judaszowy“ odezwowało się mu gdzieś w głębi duszy, tak straszno, tak okropnie!... Zdawało mu się, że to słowo gdzieś już słyszał...

Biedny podróżny kwapił się w dalszą drogę. Prosił jeszcze wójta, aby mu okazał ojcowiznę Sebastyana, bo kiedy się o tym człowieku wiele nagadało, to przecież warto obaczyć ten grunt opuszczony. I wójt też zapragnął coś obaczyć tę pustkę. Puścili się obaj ku staremu jesionowi, który z dala widać było z poza domów miejskich.

Kilka włok żyznego pola leżało odlegiem. Na wzgórku był jakiś kopiec, porosły łopuchem i pokrzywą.

— Tu stał dom Klonowiczów, rzekł wójt wskazując na kopiec, a tu widać jeszcze gruzy komina, pod którym, będzie temu lat pięćdziesiąt, siedzieliśmy z Sebastyanem i słuchali starego Bartosza, co był szyprem i tyle dziwów o Wiśle nam opowiadał.

Rzekłszy to skoczył w bok, bo z pod gruzu wyczołgała się do nich jakaś gadzina.

— Ustąpmy się zład, zawołał podróżny, bo tu dla nas już miejsca niema.

Wójt uczuł dreszcz w całym ciele.

Tymczasem zbliżyło się słońce ku zachodowi. Złote jego promienie oblały smutne pustkowie, łopuch i badyle zabłysły barwą szkarłatną i chwiały się na wietrze jak sztandary stojącego rycerstwa. W dali zaświtała biała smuga wody, a ponad nią unosił się lekki obłoczek, jak anioł z złotą przepaską....

— Tu dla mnie miejsca niema, dumiał w duchu poeta, mieszczanie wyrzuciliby mnie jak Joba na śmieć, nikłby mi kubka zimnej wody nie podał!... O słońce! ty gwiazdo mojej młodości, żegnaj mi! Tak samo świeciłaś nademną, gdy w sny bogaty biegał po tej dolinie, gdy na tej łące pił zdroje twego światła — o słońce! dzisiaj ciemno w mej duszy, czuję, że noc grobowa nadchodzi, a cóż mi grób mój rozjaśni?...

Sierotka zbladł ze strachu, bo biedny wędrowny jakoś się zmienił. Postać jego wyprostowała się, nagle odmłodziła, a w twarzy jego... w twarzy było coś... coś znajomego.... Ale nim jeszcze mógł przyjść do siebie, uczuł uścisk ręki... uścisk zimny, grobowy, obejrzał się, a podróżnego już przy nim nie było. W dali tylko, w cieniu jesionu widział blady cień, jak cień upiora.

Już samym zmierzchem wrócił Sierotka do domu. Kilku mieszczan przyszło, aby się z wójtem przywitać, ale wójt przeprosił gości, bo był mocno podróżą zmęczony.

Wreszcie położył się spać. Dziwne jakieś mary latały mu przed oczami. Zdawało mu się, że widzi Sebastyana gdzieś na barłogu leżącego, a gdy mu chciał z skarbonką dać pieniądze

jego, czuł że go skarbonka piecze jak rozpalone żelazo. I stanął przed nim Judasz z bródą płomienistą i trzymał worek z skóry tygrysiej.... Sierotka przeżegnał się, odmówił wierzę Boga... ale widmo nie zniknęło z przed oczu. Twarz biednego wędrowca wyszezerzała się do niego z ciemnych kątów izby, a coraz więcej stawała się podobną do twarzy Sebastjana.... Zdawało mu się, że ktoś z drugiego świata przyszedł do niego w postaci żebraka, aby się upomnąć o cudzy grosz....

Sierotka otarł pot z czoła i zapalił światło. Spojrzał przez okno, a tam przez szyby widział urągającego się Judasza, potrząsającego workiem z trzydziestą syklami....

Nazajutrz rano wypowiadał się Sierotka, a przyjąwszy świętą komunią, zaprzął do małego wózka i na długo, na długo z domu wyjechał.

Złowieszczy demon poety ciągnął go za sobą.

—•••••

VIII.

Za cie, mój Chryste, kupiono tę rolę
Dla tych, którzy z Ojczyzny zasli w tę niewolę,
Żeby dusze zabiegłe, które są pod niebem,
Ucieszyły kości swe tym wolnym pogrzebem!...

S. KLONOWICZ.

Jesienna mgła osiadła w ulicach Lublina. Ciemno i wietrzno było przed ratuszem, gdy wywołał stróż godzinę północną.

Grobową ulicą od Podzamcza czerniała się kupka ludzi. Nieśli coś ciężkiego. Wyszedszy na rynek królewski, dążyli wprost ku wieżom klasztoru jezuickiego. Wieże wyglądały dziś jakoś straszno, gruba mgła odjęła im krzyże i kopułę. Zdawało się, że gdzieś toną w czarnych chmurach. Żadnej gwiazdki nie było na niebie.

— Otwórz! zawołano do forteklasztornej, której był wchód do tak zwanej infirmaryi.

Snać oddźwierny oczekiwał tak późnych gości, bo zaraz zaskrzypiał klucz w zamku, skoble opadły z jękiem, a grupa ludzi w milczeniu weszła do klasztoru. Znowu zaskrzypiał klucz, jęki skoble i cicho, głucho było.

Nazajutrz gruchnęła wieść po całym Lublinie, że w infirmaryi u XX. Jezuitów, dogorywa Sebastian Klonowicz.... Miłośni ludzie znaleźli go na ulicy pod murem i wzięli, aby mu w infirmaryi wyżebrać ciepły kącik do skonania. Był w ostatniej nędzy, obdarty, wygłodzony chorobą.

Teraz dopiero przypominano sobie Klonowicza. Jaki taki biegł do forteklasztornej i zaglądał ciekawie przez kraty, aby

wróciwszy miał o czem znajomym opowiadać. Była to sama gawiedź miejska, dla której rzeczą obojętną, czy idzie za porzebem, czy za parą ślubną, czy za złoczyńcą, którego mają obwiesić. Byle się tylko na co patrzeć, byle tylko coś słyszeć! Rozsądniejsi jednak pozamykali się w domach, lub poszli spokojnie do swoich warsztatów, aby im kto nie powiedział, że się przyznają do człowieka, którego od czci i wiary odsądzono.

Tymczasem w samym klasztorze był ruch niezwykły. Ojcowie biegali tu i owdzie, to za ziołami, to za brewiarzem, aby choremu zapaloną krew ochłodzić, albo nad konającym odczytać psalmy. Kilkoro ludzi weszło przezornie do kościoła, a nie wypytując się wcale o nocne zdarzenie, ukłękli i wewnątrz modlili się do Boga, którego sądy są niedosięgnięte!...

W samym progu, przy kropielnicy klęczał mieszczanin o siwych włosach. Siwa kapota, którą miał na sobie i pas czerwony okazywały, że był obcym w Lublinie, i że od Szlaska przybył. Modlił się gorąco, klęcząc przy progu jako ów celnik, bo zdało mu się, że nie jest goźdien bliżej przystąpić.

Długo, długo modlił się, ocierał pot z czoła, wreszcie stanął, a nabrawszy odwagi zbliżył się do fortu klasztornej.

Przy forcie stała kupka ludzi, opowiadając sobie niesłychane rzeczy.

— Ale widziałam go na własne oczy, mówiła baba szpitalna poprawiając łachmany, widziałam, gdy go nieśli. Siedziałam pod kruchtą kościelną... Zdrowaś Marya, łaskiś pełna....

— To być przecież nie może, zawołał kowal z Podzamcza, wszak ma żonę.

— Żonę? rzekła babka, jaką żonę? Krystyna już od trzech lat z nim się rozwiodła...

— Musiał być pijakiem, zakonkludował kowal.

— Nie obrażajcie Boga! krzyknęła baba.... A słowo stało się ciałem.... Miałam proces z żydem o mój ogródek — hej mój Boże! gdyby on był dzisiaj jeszcze sędzią, nie chodziłabym po żebrach! Żyda, co go chciał przekupić, jeszcze do lamusu wsadził!... Święta Maryo, Matko Boża....

Otóż to złąd cała jego bieda! ozwał się staruszek w wy-

tartym falendyszu. Był za nadto pocziwym i kwita. Bywało, pamiętam, jak strofował pisarzów, co halerz brali, a rajcę Krakowskiego mało za drzwi nie wyrzucił, gdy do niego z tem przyszedł, aby pozostałe pieniądze po św. pamięci Janie Ceglaku między siebie rozdzielić; a sieroty osadzić w szpitalu.

— Prawda, prawda, był to bardzo pocziwy człowiek, zawołało kilku z biedniejszych, niech mu Bóg da lekkie skonanie!

— A cóż jego żona?

— Nie znacie jej? Sebastyanowa z Podzamcza, córka tego koralnika, co mieszkał na słomianym rynku? Ma dwa domy, stroi się w bławaty, a o nim i słyszeć nie chce!

— Strach! co za zgroza na Bożym świecie! zawołał kowal. Tak mu się niegdyś dobrze działo, a dzisiaj na gołej słomie musi leżeć... jak dziad szpitalny! Przyniosłbym mu stary tołub z futrem!

— Ej, poszedłbyś do roboty kowalu, ozwał się mieszczanin w cynamonowym żupanie, nie wiesz, co to za bezbożny był człowiek! Gdyby cię kto usłyszał, myślałby, że z nim masz spółkę....

Kowal z Podzamcza zbladł ze strachu, obejrzał się na około i czwalem pobiegł do domu. I rozpierchła się gromadka ciekawych, tylko szpitalna baba usiadła przy forcie, mówiąc Ojciec nasz, a staruszek w wytartym falendyszu wcisnął jej do ręki kilka groszy, aby prosiła Boga o lekkie dla Acerna skonanie....

Nie daleko tych, co tak rozmawiali, stał mieszczanin w siwej kapocie. Był to wójt Sulmierzycki. Twarz jego pobladła, znikł z niej dawny spokój. Usta miał od gorączki spieczone, dola Sebastyana ciążyła mu ołowiem na sercu. We dnie i w nocy nie miał spokoju, — przybył do Lublina, ale nigdzie nie mógł odszukać towarzysza swojej młodości, bo nikt o nim nie wiedział. Tak prędko wszyscy o nim zapomnieli!.. Dopiero dzisiaj, gdy go złożono w infirmerii, przypomnieli sobie jedni Acerna, drudzy pocziwego burmistrza!

Sierotka stał i słuchał, co mieszczanie między sobą mówili, a chociaż serce jego z bólu pękało, nie miał jednak odwagi przyznać się do człowieka, nad którym tak widocznie ciążyła przecież ręka karząca Boga!...

Zbliżyło się kilku szlachty.

— Acern w szpitalu! zawołał jeden podsłuchawszy rozmowę stojących.

— Na barłogu słomy! rzekł z cicha Sierotka, ocierając łzy z oczu i spojrzał do koła, czy go nie wielu słyszało.

— A drugich chciał uczyć, jak żyć i umierać! mówiła szlachta.

— Plebejusz na szlachtę wymyślał!... burmistrz lubelski chciał całą Polskę burmistrzować!

— Napisał, że ten szlachcic, co dobrze żyje, a ten dobrze żyje, kto dobrze umiera! a sam na ulicy by skończył, gdyby nie ojcowie miłosierni....

— A tyle ich się naszarpał! Chleb za kamień!

I odeszła szlachta, złorzecząc wieszczowi, który się targnął na jej klejnot herbowny, który w szlacheństwie szukał cnoty i zasługi, a karmił pychę i gnuśność....

Nadeszło kilku mieszczan.

— Mówią, że go znaleziono na ulicy w łachmanach, rzekł jeden z nich.

— Hej mój mocny Boże! Był sędzią spraw żydowskich! Ta to sam grosz do kieszeni się garnie, tylko drzeć łyko! Krajkowski dwa domy wybudował!

— Tu mu brakowało, mówił drugi pokazując palcem po czołe. Zamiast mieszek otworzyć, otwierał każdemu serce, a zamiast zamknąć gębę, gdy się coś obaczy, krzyczał i perorował, jak Piotr Złotousty!*)

— Otóż teraz w łachmanach umiera!

— Brząkał, brząkał po harfie, i cóż mu dzisiaj z tego?..

— Kona jak dziad szpitalny!

Tak i podobnie mówili między sobą mieszczanie, spiesząc do dziennej pracy. A przy pracy czas to złoto, szkoda każdej chwili, która upłynie bez korzyści, szkoda łzy, bo za nią nikt nie zapłaci!

Biedny Acernie! Dzisiaj obcym jesteś dla wszystkich! Nie jesteś ani sędzią ani burmistrzem, a czem jesteś dla narodu,

*) Skarga.

tego dzisiaj nikt nie pojmie! Samotnie skonasz jak nędzarz ostatni, a ci, których chłosta twoja dosięgła, z uśmiechem patrzeć będą na twe łoże śmiertelne, mówiąc do siebie: Żyli dobrze ten człowiek, gdy mu na barłogu szpitalnym umierać przypadło?...

Dłużej nie mógł wytrzymać Sierotka. Zapłakał głośno nad towarzyszem młodych dni swoich, otworzył fortę i wszedł do klasztoru.

W małej, wilgotnej celi na wiązce słomy leżał blady staruszek. Nie lata ale boleść i cierpienia ubielily włos jego, wyssały mu krew z ciała.

Koło chorego siedział dziad szpitalny i szeptał pacierze.

— Sebastyanie! krzyknął Sierotka i padł na kamienną posadzkę.

— To ty Marcinie? słabym głosem zawołał chory, o Bóg ci zapłać! Przyszedłeś w dobrą porę. Ujmiesz mi jednej boleści, która mnie piecze jak ogień.

Rzekłszy to wyjął z zanadru kawałek suchego chleba.

— Weź ten chleb Marcinie, jam go nie godzien. To chleb z mojej włoki ojczystej... jam nim wzgardził... wolałem żywić się jałmużną!

Łzy puściły się mu z oczu, zamknął na chwilę.

— Jakbym go widział, mówił jakby do siebie, ten mały domek ojczysty!... W cieniu tego jesionu siadywałem wraz z tobą i patrzałem na słońce zachodzące... Zdawało się mnie, że tam daleko, szeroko... z kąd to słońce wychodziło, są ludzie, których Bóg kocha, że muszę pójść do tych ludzi i kochać ich, jak Bóg przykazał... I kochałem ich, a czułem rokosz, że ich Kocham!... Za duszno mi było w tym domku małym, za chłodno pod cieniem tego jesionu — porzuciłem włokę ojczystą, szukając szerszej ojczyzny! A gdy w tej ojczyźnie wiele złego ujrzałem, zawołałem jej: biada! biada wyrodnym dzieciom twoim... a jej dzieci rzuciły na mnie kamieniem...

Słowa mu się urwały, suchy kaszel rozległ się po celi.

— Sebastyanie! mówił ze łzami Sierotka, myśmy myśleli, żeś bogaczem, że masz zaszczyty i honory....

— A jam żebrakiem przyszedł do was... tyś mnie nie poznał!... Dałeś mi jałmużnę, ot ten kęs chleba... a on mnie

piekl jak rozpalony kamień... jam nim wzgardził. Żyłem i pracowałem dla kraju, a gdy mi głód dojmować zaczął, w całej Polsce nie było dla mnie ani kęsa chleba, ani jednej ręki dobroczynnej, któraby Acernowi kubek wody podała!...

— A jam nie wiedział, żeś ty tak biedny i jadłem chleb z twojej włoki ojczystej! Sebastyanie, odpuść mi ten grzech śmiertelny... i proś Boga aby mnie także odpuścił!...

Tu ukląkł Sierotka przy łóżku, a zakrywszy twarz rękami, począł głośno płakać.

— Pocziwa duszo, mówił z anielskim uśmiechem poeta, twoje sumienie dręczy cię, żeś za mało dobrego na świecie uczynił, a cóżbyś rzekł na to, gdybyś ujrział i pojął wszystkie te zbrodnie i zdrożności, na które ja patrzałem?... Rozum byś utracił!...

— Oby mi Bóg przebaczył...

— Bóg przebacza Marcinie, tylko ludzie nie przebaczą, gdy ich raz rozgniewasz... Ot patrz na mnie. Byłem zamożny i szatny, nie źle mi się wiodło; a gdy ludziom począłem ich błędy wytykać, rozebrano mnie z moich szat i dóstatków, wzięto mi cześć i sławę i nie przebaczą mi, póki w grobie nie legnę!... Ludzi nigdy nie gniewaj, bo ich gniew póty ściągć cię będzie, póki cię sprawiedliwość Boga za grobem od ich zemsty nie ocali. I wtedy jeszcze na ziemi pastwić się będą na twemi zwłokami... lecz ty patrząc z nieba kochaj ich, bo nie oni, ale tyś zwyciężył!...

Słodki uśmiech okrasiał twarz poety, wznosił oczy ku niebu, bo ztamtąd spływała dlań szata biała i palma wybranych.

Na korytarzu ozwał się dzwonek. Do celi wszedł spowiednik. Sierotka i dziad powstali, aby wyjść z celi, ale spowiednik zatrzymał ich, mówiąc, że będą świadkami wyznania konającego.

.

Cisza była w całym klasztorze, i cisza była w celi konającego. Kilku ciekawych zbliżyło się do drzwi celi. Tam słychać było tylko modły kapłana.... Po chwili poczęła się rozmowa między spowiednikiem a konającym, rozmowa coraz żywsza... urywana.. słychać było płacz i ciężkie westchnienie,

długo... długo... wreszcie uciszyło się... spowiednik głośno wyrzekł słowa rozgrzeszenia; ozwał się dzwonek... płacz Sierotki i pacierz dziada....

Kilka godzin potem jęczały dzwony klasztoru jezuickiego. Ubodzy ludzie odmawiali za duszę Sebastyana Zdrowaś Marya, a inni szydząc mówili: W szpitalu umarł!

Po ulicach miasta chodził błędnie jakiś mieszczanin w siwej kapocie. Trzymał w ręku kawałek suchego chleba i wołał do każdego: Nie gniewaj ludzi, bo Bóg przebaczy, a ludzie nie przebaczą!...

Biedny Sierotko! tyś tylko widział konającego Acerna i już ci zmysłów nie stało, a on cierpiał całe życie!...

Na pogrzebie odczytał Ojciec Jezuita zgromadzonym ostatnie zeznanie konającego, wielbiąc miłosierdzie Boga, który dał przejrzeć grzesznikowi, iż w ostatniej chwili swojej uczuł żal i skrucę, odwołując wszelkie oszczerstwa, które był rzucił w pismach swoich na zakon zgromadzenia Jezusowego....

I imieniem umarłego prosił wszystkich, aby mu również przebaczyli.

Czy przebaczyli mu?...

IX.

A jak się fenix przez popiół odmładza,
Tak się człowiek przez ziemię i pruchno odradza.

S. KLONOWICZ.

Sierotka wrócił do Salmierzyc, ale rozumu nigdy nie odzyskał. Dobre jego serce nie mogło pojąć, aby tyle cierpieć można na świecie.

Mieszczanie Sulmierzycey radzili długo nad nieszczęściem swego wójta i zgodzono się wreszcie, że na pozostałym gruncie po Klonowiczu ciąży gniew Boży. Wszyscy omijali z daleka te pola, chwast i zielsko porosło na nich. Nikt nie chciał ani zdźbła trawy z nich uszczknąć. Nawet ubodzy lękali się tego gruntu.

Roku 1663 Odolanowska starościna, pani Rozdrażewska, darowała ten grunt kościołowi, co w rok później król Kazimierz potwierdził.

Sierotka podupadł i umarł w nędzy. Otarł się tylko o postać wieszczka, a złowieszczy demon pochwycił ich obu. Do końca życia mawiał do każdego:

— Nie gniewaj ludzi, bo Bóg przebaczy, a oni nigdy nie przebaczą....

I mówił prawdę.

Trzech wieków potrzeba było, aby Acernowi mógł świat przebaczyć! Dzisiaj dopiero powito mu wieńce i poczęto oglądać się za jego grobem. Ale na tym grobie były trzy wieki, trzy piramidy Faraonów i zakryły go przed oczami szukających!

Niema grobu Acerna*), więc w rodzinnem jego miasteczku, w Sulmierzycach, stawiają poecie pomnik.

Czemuż tak późno mu przebaczymy?...

O wcześniej przebaczajcie społeczeńsi, gdy was wieszczkarci za błędy wasze. Nie złorzeczcie mu, gdy miasto krwi wytoczy wam żółć z swego serca.

To serce was kochało!

*) Żeromski napisał mu epitaphium:

Nasonis est patria Sulmo, Sulmiria Acerni.

Ille poeta fuit, Naso poeta fuit:

Exul in Euxinis est Naso mortuus oris.

Vix hunc non eadem fata secuta virum.

POLSKIE TŁUMACZENIE

niektórych zdań i wyrazów łacińskich w powieści zachodzących.

Dum trepidant stulti, sumit prudentia vires. — Gdy głupi drżą, roztropność siły gromadzi.

Strona 9.

De mortuis nil nisi bene! — O umarłych nic nie mów, chyba dobrze!

Strona 36.

Dies illa, dies irae... — Dzień on, dzień gniewu...

Jus gladii — prawo miecza.

Strona 41.

Si natura negat, facit indignatio versum. — Jeżeli talent odmawia, czyni gniew wiersze. Forsitan ad Manes dulcedo posthuma laudis Perveniet nostras — et seri sensus honoris. — Zapewne dojdzie do cieniów naszych słodycz pośmiertna sławy i późnej uczucie cześci.

Strona 42.

Vale Acerne! — Bądź zdrów Klonowiczu!

Strona 43.

Vale, decus patriae! — Bądź zdrów, ozdobo ojczyzny!

Strona 48.

Laudetur. — Niech będzie pochwalony.

Strona 49.

Victoria deorum. — Zwycięstwo bogów. Apage Satanas! — Idź precz szatanie!

Strona 52.

— Quid proemii verbis tam dignis? — Carnifex et ignis! — Jakaż (dać) przedmowę słowom tak godnym? — Kata i ogień!

Strona 67.

Nasonis est patria Sulmo, Sulmirea Acerni — Ille poeta fuit, Naso poeta fuit: — Exul in Euxinis est Naso mortuus oris, — Vix hunc non eadem fata secuta virum. — Nazona*) jest ojczyzną Sulmo, Sulmierzyce Klonowicza; Ten poeta był, Nazo poetą był, Wygnańcem nad morzem Czarnem Nazo umarł. Tego ledwo nie też same losy dościgły.

*) Ovidius Naso, łaciński poeta przed Chrystusem żyjący, który z Włoch wygnany nad morzem Czarnem życia dokonał. Tak wielką miał zdolność robienia wierszy, iż dzieckiem będąc płacząc wierszami odpowiadał matce, gdy go strofowała. Dla tej łatwości w wierszowaniu Klonowicza z Nazonem porównywają.

Biblioteka T. S. L. w Tarnowie
im. Juliusza Słowackiego

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Juliusza Słowackiego
ul. Staszica 6; - tel. 491

C-31105

